



Jarosław Mikołajewski
TERREMOTO

SERIA REPORTERSKA

Jarosław Mikołajewski
TERREMOTO

Spis treści

Dedykacja

Terremoto

Od Autora

*dla Luki
i Włochów, którzy mając góry,
nie zapominają o morzu,
ratując innych,
ocalają siebie
i nas*

Nie tak miała wyglądać ta podróż.

Chciałem iść na nogach, z Norcii do Asyżu.

Zaplanowałem to sobie jak dziecko, które wymyśla nową planetę na lekcję rysunków. Niestety, do dziś pokutuje we mnie dziecięca wyobraźnia: kiedy ktoś opowiada o drodze z leśniczówki do lasu, widzę ją jakby z góry. Widzę drewnianą chatkę, serpentyne ścieżki, las. Las jest przyjazny, droga bliska, chata jak z piernika.

To defekt, w dodatku taki, który ośmiesza. Oto deklaruję w domu: chcę iść na piechotę. Córka zaraz chce pójść ze mną, ale bałbym się o nią. Że akurat wtedy zatrzęsie się ziemia. Nie wiem, jak w górach wygląda trzęsienie ziemi.

Poza tym Rysiek przestrzegał, żeby nikogo nie zabierać do pracy.

– Będziesz się martwił, czy zjadła, czy ma wygodnie – mawiał reporter. – Będziesz podawał płaszcz. I przestaniesz widzieć. Stracisz kontakt z ludźmi, których spotkasz na miejscu.

Tam, już na miejscu, też pukają się w głowę. Bo na przełomie lat 2016 i 2017 seria trzęsień ziemi jest serią stulecia i zima jest zimą stulecia. Żeby móc iść pieszo, odsuwam podróż w kalendarzu, ale na początku marca śnieg wciąż leży wszędzie. I walczy o lepsze ze skałami na drogach. Z pęknięciami ziemi, które biały puch dobrze maskuje.

Jestem mięsem, a krajobraz jest wygłodzony zimą, przerażony wstrząsami.

Kiedy będziemy z Lucą w górskim Castelluccio, strażacy powiedzą, że rano znaleźli na śniegu szkielety kilku zagryzionych owiec.

– Wczoraj – dodadzą jeszcze – kiedy jechaliśmy do Norcii, zobaczyliśmy na poboczu klęczącego cielaczka. Był rozpruty. Wilki na nasz widok uciekły. Ale cielaczek zginął.

Nie spytałem, co się robi z klęczącym cielaczkiem. To pytanie przyszło mi do głowy później. Ratuje się go? Zabiera? Czy się odjeżdża? Zostawia wilkom na potem, na zaraz?

– Powiedzmy, że są trzy rodzaje trzęsienia ziemi – mówi Luca Cari i zaprasza do jeepa. – Jak w Amatrice, jak w Nursji i jak w Castelluccio. I każdy z tych rodzajów jeszcze jakoś można scharakteryzować...

Mówi jak praktyk, nie jak seismolog, którym zresztą nie jest. Luca to strażak. A raczej ktoś pomiędzy strażakiem a świadkiem. Nie tylko tak jak każdy strażak jest świadkiem pożaru. Raczej jak reporter, który będąc świadkiem, bez przerwy zastanawia się nad swoją rolą, nad własnym warsztatem i nad każdym słowem.

Tyle że od słów reportera czyjś los nie zależy tak bezpośrednio, tak wprost. Tak indywidualnie. Słowo reportera może przeźłobić. Ludzi i społeczeństwa. Można wyobrazić sobie, że zmieni los albo nastawienie świata. Tymczasem słowo Luki może więcej: zabić albo przywrócić do życia. Uchronić albo skazać.

– W Rigopiano – opowiada – nie mieliśmy nadziei, że znajdziemy kogoś żywego. Musiałbyś to zobaczyć. Jak gdyby na hotel zwalił się kawał góry. Po przybyciu nawet nie wiedzieliśmy, gdzie jest ten budynek. Lawina przesunęła go o kilkanaście metrów. Ale kopie się zawsze, nawet kiedy się nie ma nadziei. Aż znajdziesz żywego człowieka. Albo jego ciało. Tylko nie wiadomo, co wtedy powiedzieć. Wszyscy chcą dostać konkretną informację, a jeśli nie ma informacji, to choćby tę nadzieję. Każdy chce usłyszeć, że

wszystko jest możliwe. Ktoś tam w środku, raczej pod spodem, tak naprawdę nie wiadomo gdzie, ma żonę, ktoś dziecko albo dwoje. Jak ten mężczyzna, który przed lawiną wyszedł na spacer. I jeśli dasz mu nadzieję, to gdy się okaże, że jego bliscy zginęli, ona, ta nadzieja, go zabije. Ale nie możesz też pozbawić człowieka wiary, że się uda, bo – powtarzam – rzeczywistość czasem zaskakuje, na szczęście. I z tym mężczyzną również wtedy tak było. Wtedy... Niecałe półtora miesiąca temu, w połowie stycznia. Przeżyły jego żona i dzieci. Pod tym samym śniegiem, tuż obok, przeżyły też inne dzieci, których rodzice jednak zginęli.

– Widziałeś – pyta po dłuższej chwili – tego chłopca, którego wyciągnęliśmy z hotelu, spod śniegu?...

Widziałem, pewnie, że widziałem. Cały świat widział dziecko, na które strażacy czekali jak na małego mesjasza. A kiedy chłopiec wynurzył się spod ziemi, tarosili go, mierzwili mu włosy.

– Gdybyś słyszał, co wtedy mówiliśmy. Jakie słowa wychodziły nam z ust...

Poznajemy się osobiście dopiero teraz, na przełomie lutego i marca 2017 roku, w centrum Rzymu. Wcześniej kilkakrotnie rozmawialiśmy przez telefon, wymieniliśmy kilka maili.

Chciałem poznać Lucę już w zeszłym roku, i to wcale nie w związku z kataklizmami w środkowych Włoszech. Zanim 24 sierpnia 2016 rozpoczął się ten *annus horribilis*, potworny rok, który trwa do dzisiaj i nie wiadomo, kiedy się skończy.

Wiosną 2016 usłyszałem, że włoski premier Matteo Renzi polecił ściągnąć na Sycylię z egipskiego wybrzeża statek z siedmiuset ciałami uchodźców z Afryki, i chciałem się dowiedzieć czegoś więcej o tej decyzji. O akcji tak osobliwej, wytyczającej jaskrawą granicę pomiędzy nimi a nami, w poprzek kultury, która jeszcze do niedawna wydawała się jedną kulturą, chrześcijańską i śródziemnomorską, od Lampedusy i Sycylii po Krasnogrudę i Sejny.

Poza tym, co dało się wyczytać z gazet, nie mogłem dowiedzieć się nic. Ani od policji, ani od wojska. W końcu kolega z „Cronaca di Siracusa” podał mi numer Luki.

– To strażak i dziennikarz – powiedział. – Cały czas jest na miejscu. Można mu wierzyć.

– Cari – usłyszałem w słuchawce. Powiedziałem, o co chodzi. Powołałem

się na znajomość z doktorem Pietrem Bartolo z Lampedusy.

– Zadzwoń za dziesięć minut. Jadę motocyklem.

Sprawdziłem szybko w internecie: Luca Cari okazał się jednym z najważniejszych ludzi na Wiminale, czyli we włoskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Rzecznikiem straży pożarnej i obrony cywilnej do spraw nadzwyczajnych. Czyli kataklizmów.

Zadzwońłem ponownie. Mówił powoli, wyraźnie. Prócz głosu Luki dochodził do mnie szum wiatru. Wyobraziłem sobie, jak stanął w zatoczce, wyłączył silnik, zsiadł z motoru, zdjął kask.

Powiedział, że wrak jest w wojskowej części portu w Auguście. Że zanim marynarka wojenna ściągnęła go na Sycylię, oni, strażacy, przez kilka dni przygotowywali się do pracy.

Znaleźli podobny typ statku. Obliczali czas konieczny do tego, by wejść. Oddzielić zwłoki od innych. Włożyć każde do innego worka. Wynieść.

Przypomniał mi się sposób, w jaki Umberto Eco konstruował dialogi w *Imieniu róży*. Najpierw pojechał do prawdziwego klasztoru, żeby zmierzyć odległości między celami. Potem do tej przestrzeni dostosował długość rozmów.

Po co ściągnęli wrak?

To oczywiste: żeby ci ludzie nie zostali w morzu. Morze nie jest dobrym miejscem pochówku dla tych, którzy sami go sobie nie wybrali na cmentarz.

Chcieli ich pochować. A wcześniej pobrać próbki do badania DNA. Na wypadek, gdyby szukali ich bliscy.

– Poza tym – powiedział – jesteśmy dziećmi Antygony, czy nie?

Teraz, w Rzymie 2017 roku, kiedy mu przypominam te słowa, nie pamięta, by powołał się na Antygonę.

A przecież słyszałem. Słyszałem na pewno. Jeśli nie on, to kto ją wymienił?

Ten sycylijski wiatr?

Mówił, tam, wtedy, w zatoczce przy szosie, głosem opanowanym.

Czasami przerywał.

Ze wzruszenia? Żeby odwrócić się od wiatru?

– Rampą – opowiadał wiosną 2016 – wprowadziliśmy statek na ląd, do hangaru. Zaczęliśmy od deku, bo tam zobaczyliśmy pierwsze szczątki. Nie wiem, jak je nazwać – szkielety czy ciała. To, co po nich zostało. Znajdowały się pod wodą. Tylko niektóre były w całości. Na nadbudówce leżało pięć czaszek. Oderwały się od reszty i skupiły we wspólnym wgłębieniu. Jak wtulone w siebie głowy śpiącej rodziny.

Nazajutrz otworzyli kadłub. Nożycami hydraulicznymi. Ładownię po prawej, potem po lewej. W każdym pomieszczeniu było ponad sto zwłok. W maszynowni kilkadziesiąt. To mniejsze pomieszczenie, więc ofiary były też bardziej stłoczone.

Podobno wraz z tym statkiem utonęło siedemset osób. Jeśli tak, była to największa katastrofa na Morzu Śródziemnym. Największa z tych, które znamy.

– W morzu – jak mawia doktor Bartolo z Lampedusy – jeśli ktoś utonął bez świadków, to o jego śmierci raczej nigdy się nie dowiemy.

– Często – opowiadał Cari, stojąc przy motocyklu w zatoce autostrady – była to plątanina szkieletów i ciał. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Ludzie wtuleni w siebie. Dzieci uczepione dorosłych. Pewnie matek. Starszych braci. Ojców. Szkielety dorosłe obejmujące szkielety małe, w geście obrony przed tym, co się działo. Szkielety zupełnie małe, niemowlęce. Wymienialiśmy się co kilka minut, zachowując płynność. Jedni wychodzili, drudzy wchodzili. Co dalej? Tego nie wiemy. Worki ze zwłokami przejmowały wojskowe służby Czerwonego Krzyża. Teraz będą badania i pogrzeby. Bo cele są dwa: godnie pochować, jak przysługuje to ludziom, i zachować o nich pamięć. DNA. Taki jest sens, jedyny. Nie wiara, chyba. Nie uświadomione wartości. Tylko człowieczeństwo... Nie, nie płakaliśmy. Nikt nie prosił o odpoczynek. Mogliśmy skorzystać z pomocy terapeuty, ale nie skorzystaliśmy. Rozmawialiśmy ze sobą, później. To był nasz płacz i była nasza terapia.

Po tamtej rozmowie jeszcze raz zajrzałem do internetu, żeby zobaczyć Lucę. Przystojny, siwy pięćdziesięciolatek o pociągłej twarzy, wysokim czole i uważnym spojrzeniu. Typ kondotiera. Rzymskiego senatora. Z tych, do których rodzaju ludzkiego zawsze chciałem należeć: którzy nie uciekają przed trudnościami, ale z każdej opresji wychodzą w wyprasowanej koszuli. Pamiętam, że takiego chciał mnie widzieć ojciec. Stojącego w kościele na nieugiętych nogach, schludnego, dumnego. Twardego i ciepłego.

I kiedy wyobrażałem sobie, jak zakłada kask, wsiada na motocykl i jedzie, wioząc do Rzymu obraz tamtych czaszek, wtulonych w siebie jak głowy śpiącej rodziny, przypomnially mi się słowa, które na Lampedusie wypowiada Miranda z Szekspirowskiej *Burzy*:

Och, jakże cierpiałam,
Widząc, jak oni cierpią! Świetny statek,
Niosący pewnie szlachetne istoty,
Rozbity w drzazgi! Ten krzyk – niby cios
W sam środek serca! Zginęli, nieszczęśni!
Gdybym tak miała boską moc, już raczej
Dałabym ziemi wessać całe morze,
Niż morzu wchłonąć ten wyborny statek
Z całym ładunkiem dusz...

Antygona, Szekspir...

Nie z dumą, bo nie wystarczy być człowiekiem, by mieć tutaj jakieś zasługi. Z zachwytem i wstydem myślałem o tym, że kultura Europy, języków oryginału i języków przekładu ma szkielet współczucia. Litości. Wciąż istnieją szkoły, wciąż w szkołach czyta się ważne lektury, których nie pogrzebie najgłupsza nawet reforma, najbardziej prymitywny rząd.

Nie ma alibi. Jest Sofokles, jest *Burza*.

Wiemy, kogo podziwiać. Co robić. Ale coraz bardziej porastamy niepamięcią, zdradą wobec własnych nastoletnich myśli. Nasze głowy wraz z tym, co w nich umarło, coraz głębiej osiadają na mulistym dnie morza, naszego morza.

Śródziemnego.
Bałtyckiego.
Mare Nostrum.
Monstrum.

– Jadłeś śniadanie? – pyta Luca teraz, w Rzymie, wiosną roku 2017.

Pijemy kawę, jemy rogaliki. Luca jest jedynym gościem baru Antico Ruschena, któremu udaje się nie upaćkać pudrem ani kremem. Tylko jemu nie pozostaje na wargach ani na nosie kawowa pianka.

Jest wysoki, może metr dziewięćdziesiąt. Ma na sobie szarą, obcisłą bluzę z żółtymi naszywkami. Doskonałej jakości. Nie jak mundur. Raczej jak drogie ubranie trekkingowe.

– Założyłem ją – tłumaczy – żeby była widoczna dla wojska. I tak by nas wpuścili, bo mam tablicę straży pożarnej. VF, jak Vigili del Fuoco. Przyda się, kiedy wysiądziemy z auta. Poza tym może być chłodno, będziemy w górach.

Kiedy wracamy do jeepa, oprócz tablicy widzę naklejkę z informacją, że samochód został zarekwirowany mafii.

Trzęsienie ziemi...

Co za dziwna idea dla kogoś, kto urodził się na Mazowszu. Mówię o tym Luce, kiedy jedziemy do Amatrice, drogą na Florencję, potem na Rieti.

Bo to głównie ja opowiadam na początku drogi, która z Rzymu ma trwać około dwóch godzin. Muszę się uwiarygodnić. Muszę wytłumaczyć, dlaczego mnie to interesuje. I zaczynam od tego właśnie – że w Polsce trzęsień ziemi właściwie nie ma. Pamiętam relacje sprzed lat, że gdzieś tam zakołysał się żyrandol albo obrazek spadł z gwoźdźca. Mówię o kopalniach, o tąpnięciach i zawaleniach, przez które giną górnicy, o których opowiadał mi górnik-poeta Igor Jarek. Mówię o ścianach domów, które pękają nad urobiskami. Ale te zjawiska da się wytłumaczyć robotą człowieka: jeśli kopie pod ziemią, ziemia może się zawalić. A jak wytłumaczyć jej trzęsienie? Nauka wystarczy? Analiza warstw skalnych, ich ruchów i napięć? Mówię Luce, że o sztuczności czy obcości tego problemu w Polsce świadczy sama nazwa: trzęsienie ziemi. Dwa wyrazy, jak dwa obrazki, których nie da się zestawić. Z dwóch różnych światów. Metaforyczne i paradoksalne.

Ziemia to fundament. Matka. Wszystko pęknie, wszystko rozsypie się w pył, ale nie ona.

Chyba że się trzęsie o dziecko.

Także dla Włochów ziemia jest fundamentem i matką, tylko kryje w sobie

tajemnicę, jakiej my nie znamy, a raczej znamy jedynie z przenośni: że nagle się usuwa spod nóg. Dosłownie.

Wyraz *terremoto* nie dziwi, choć dziwić powinien. Na przestrzeni czterech sylab są nieruchomość i wstrząs, wprasowane w siebie jak muszla ślimaka w prehistoryczny kamień. Ziemia – matka, która łamie się pod stopami.

„Jak nie łamać się?” – pyta Maria z wiersza *Stabat Mater dolorosa* Iacopone da Todi, w odważnym przekładzie Mirona Białoszewskiego.

Matka Boża łamie się, bo został zamordowany Jej Syn. Bóg. Matka Ziemia łamie się – bo co? I to w piękny letni dzień. Jak 24 sierpnia zeszłego roku, tuż po moim powrocie z wakacji.

Opowiadam ze wstydem, jak wilkowi morskiemu opowiada turysta na spacerowym stateczku. Przypominam sobie teraz, że co jakiś czas miałem we Włoszech do czynienia z trzęsieniem ziemi. Że robiło to na mnie wrażenie, ale nie należyte. Nie dość wewnętrzne. Że czułem się wtedy jak barbarzyńca w ogrodzie, jak spacerowicz na archeologicznym obszarze, który co jakiś czas potyka się o antyczną skorupę.

Kiedy? Choćby we wrześniu zeszłego roku, kiedy w Ferrarze próbowałem wejść do synagogi, ale dozorca mnie nie wpuścił, bo po wstrząsach w 2012 roku w Emilii-Romanii popękały ściany.

– Przez tamto trzęsienie – powiedział dozorca – ferraryjscy Żydzi nie mają się gdzie modlić.

Albo w sycylijskiej Mesynie, gdzie prawie wszystko jest nowe, bo w 1908 roku trzęsienie ziemi zniszczyło przeszłość, i gdzie pod gruzami znaleźli się Caravaggio i Antonello. I nie tylko oni.

Albo kiedy ponad trzydzieści lat temu pojechałem do Friuli i wśród solidnych, alpejskich domów Tolmezzo zobaczyłem schludne baraki i dowiedziałem się, że to pozostałość po trzęsieniu, które w 1976 roku zabiło dziewięćset dziewięćdziesiąt osób.

Lub kiedy nagle podczas obiadu żona Michele'a, właściciela restauracji La Piccola Irpinia, w której jadam zawsze, gdy jestem w Rzymie, zaczęła

wspominać ryk trzęsienia ziemi, które przeżyła jako nastolatka. W Irpinii właśnie, czyli w Kampanii, blisko Neapolu. Pod Avellino. Walące się domy, ucieczka – owszem. Lecz przede wszystkim ten ryk. *Boato*. Niedający porównać się z niczym. A ja jej wierzyłem, bo w oczach kobiety, dziesięć czy pięć lat temu, widziałem całe tamto przerażenie. Z 1980 roku. Ale cóż mogłem wiedzieć o irpińskiej tragedii, która przyniosła dwa tysiące dziewięćset czternaście ofiar śmiertelnych, skoro my mieliśmy wtedy Solidarność, ekstazę rewolucji?

Mówię mu w końcu, Luce Cariemu, który widział wszystko, co tylko najgorszego może się stać z człowiekiem, że przez jakiś czas mieszkaliśmy w Rzymie i że pewnej kwietniowej nocy 2009 roku obudziło nas w mieszkaniu drżenie podłogi, że przesuwano się łóżko, kołysał żyrandol. Że przyszły do naszego pokoju córki, a pies szczekał mechanicznie jak chińska zabawka na baterie. Że włączyliśmy telewizor, a tam prezenter nocnego programu informował, że w studiu RAI na Saxa Rubra, przy północnym wyjeździe z miasta, które jest Światem, drży właśnie podłoga, kołysze się wszystko, co wisi. Z czasem zaczęliśmy się dowiadywać, że epicentrum trzęsienia jest w okolicach L' Aquili, jakieś sto kilometrów od nas. Wreszcie, po kilku dniach – że zginęło trzysta dziewięć osób, a tysiąc sześćset jest rannych. Że sama L' Aquila jest w gruzach.

Opowiadam, że w zeszłym roku wracaliśmy po trzech tygodniach pobytu w Toskanii, nad Morzem Tyrreńskim, że ostatnią noc we Włoszech spędziliśmy w Cividale del Friuli, na północy, że nad miastem wisiała ogromna, stalowa chmura, z której spadł wielki deszcz, że nazajutrz dojechaliśmy do Częstochowy i tam zobaczyliśmy rano w telewizji, że we Włoszech było trzęsienie.

Luca lekko kiwa głową, aż przerywa moją gadaninę:

– L' Aquila, 6 kwietnia 2009 roku, godzina 3.32... Accumoli, Norcia, Amatrice, Visso, Arquata del Tronto, 24 sierpnia 2016, godzina 3.36...

Nie idę więc pieszo. Jadę z Lucą Carim.

Do Amatrice, do Norcii, do Castelluccio.

Przez pola, góry, przez *borghi*. Często wysiadamy. Rozglądam się. Luca wciąż przypomina o kasku.

Właśnie *borghi* zostały najbardziej pokiereszowane przez ostatnie trzęsienia ziemi w tej okolicy. To słowo, które zna każdy turysta. Co rusz wzdłuż drogi brązowa tablica kieruje do jednego z najpiękniejszych *borghi* we Włoszech.

Nie lubię dość częstego u nas tłumaczenia *borgo* jako „gród” czy „podzamcze”. W „grodzie” i „podzamczu” jest coś z borgomanii. Średniowiecze na siłę. Tymczasem we Włoszech w słowie *borgo* nie ma nic sztucznego. Jest jak szyte na miarę, dopasowane, przylega do miasteczek na szczytach gór, do miasteczek ściekających po stromych zboczach jak żywica z kory. Pierwszy dom prawie zawsze jest podwyższeniem przepaści, ściana murarska przedłuża ścianę naturalnej skały. Nad nierównymi bryłami domów piętrzą się ceglaste dachy, zgrabne kopuły, smukłe wieżyczki, dzwonnice.

Im bliżej Amatrice, tym bardziej zakłócone wydają się dziś bryły miasteczek. Tym bardziej popękany rysunek. Jak gdyby to był ten moment w życiu malarza konstruktywisty, kiedy nawraca się na abstrakcję, lecz najpierw postanawia zniszczyć swoje całe dotychczas. Swoje dzieło, które

nagle uznaje za niewarte podziwu, a nawet samego istnienia.

Tak, muszę powiedzieć Luce, dlaczego postanowiłem zobaczyć tę część Apeninów, po co mam zamiar pisać o trzęsieniu ziemi. Chcę, żeby wiedział, że nie uprawiam jego kosztem, za cenę jego bezpieczeństwa, turystyki nieszczęścia. Chcę, by wiedział, że mam ważne powody.

Kłopot w tym, że wiem, że powody są ważne, ale nie wiem jakie.

Jak zwykle nie mam też szczegółowego planu wyprawy ani wypowiedzi. Jadę, nie wiedząc, co zobaczę. Inaczej bym nie jechał. Otwieram usta, nie wiedząc, co chcę powiedzieć. Inaczej bym nie mówił.

Wokół nas, daleko, góry i śnieg, majaki zjawiska, o którym się mówi: Włochy środkowe, a ja zaczynam jakoś dziwnie, od swoich rozterek w kwestii nazwy miasta. A Lucę dziwnie to interesuje. Bo nie jest to tylko problem lingwistyczny.

Mówię, że mam kłopot z imieniem „Norcia”, która po polsku nazywa się „Nursja”. Trochę jak z *borgo* i „grodem”. Mówię, że kiedy opowiadam o trzęsieniu w Nursji, to jest to tak, jak gdyby miasto runęło w jakiejś uczonej baśni, w teologicznym traktacie, w łacińskich czasach, nie dzisiaj. Nie mówię przecież, że ziemia zatrzęsa się w jakiejś „Amatrycji”. Norcia stoi w braterskim szeregu z Amatrice, Visso, Accumoli. A Nursja brzmi jak Etruria, starożytna kraina Etrusków. Próbuje we mnie górować nad Norcią, w dodatku wydaje się pokryta patyną. A przez to jej tragedia jest mniej żywa.

Norcia jest chłopska, ludowa. Jest znakiem rozpoznawczym tutejszego sera i kiełbasy. Tak, zwłaszcza kiełbasy. Wieprzowej. I kiedy zrobicie sobie makaron z kiełbasą, a usłyszycie, że to dzikie, że tak się we Włoszech nie jada, mówcie śmiało: w Norcii się jada. Nie jada się może w Nursji. W Nursji czyta się mistyków. Przy tym samym stole, przy którym ktoś je kiełbasę. Ktoś, kto również jest w nas.

Ale z Norcią jest też inny problem. Kiedy mówię o trzęsieniu w Norcii, niewiele osób kojarzy nazwę z tym, z czym Europejczyk kojarzyć ją powinien: z miejscem narodzenia świętego Benedykta i jego siostry, świętej Scholastyki. Z bazyliką, która jest w tej chwili wyżłobionym w środku szkieletem. Z klasztorem. Łudzę się, że tylko dlatego tak słabo przejęliśmy się w Polsce włoską tragedią – bo ludzie nie bardzo kojarzą Norcię z Nursją.

A przecież ta informacja jest ważna. Zginęli ludzie – to jedno. Lecz także zatrzęsała się ziemia w centrum świata. Tego świata, który od wieków uznajemy za nasz, za wspólny. Za wiążący dla wszystkich, bez względu na wiarę i niewiarę.

Nie mam zwyczaju, bo nie mam też na to słuchu, uderzać w ton proroczy, czytać wydarzenia przede wszystkim w ich symbolicznym wymiarze. Wolę wiązać je z ludźmi i ze zwierzętami.

Kiedy klęczy cielaczek, widzę przede wszystkim jego ból.

Dopiero potem narzuca się myśl o pękniętej cywilizacji, estetyce drastycznego krajobrazu. A przecież robi wrażenie, że ziemia, gdzie zginęli ludzie i zwierzęta i gdzie zadomowiły się strach i przygnębienie – bo trudno się nie bać, kiedy każdego dnia ziemia drży kilkadziesiąt razy, i trudno nie ulec depresji – że ta ziemia rozpościera się pomiędzy miejscami urodzenia patronów Europy. Norcia od świętego Benedykta ledwie się trzyma – widziałem, wiem. Chociaż próbuje się podnieść. Ale niewiele osób pamięta, że 26 września 1997 roku pod siłą wstrząsów w bazylice Świętego Franciszka w Asyżu oderwał się kawał tynku z freskami i zabił czterech zakonników. Wśród nich polskiego franciszkanina.

Rozumiem, że nie wierzymy dziś w takie znaki. Sam jestem na nie głuchy i ślepy. Duszę mam tkliwą, ale nie wzniosłą. Lecz czym innym są znaki, a czym innym wrażenie. Oniemienie. Oto dwadzieścia lat temu tynk pękł akurat w bazylice Świętego Franciszka, nie w jakimś starym magazynie obuwia sportowego. W 2016 roku zaważyła się bazylika Świętego Benedykta, właśnie ona. Widok ludzi klęczących przed fasadą, za którą nie ma świątyni, mógłby być jedną z najmocniejszych ikon współczesnego świata i całego stulecia.

I bywa nią, ale nie tutaj. Nie u nas.

Powtarzam: nie mówię, że uważam to za znak Boży. W Boga wierzę bardzo sporadycznie. Jedyne, co dzisiaj może dla mnie być Bogiem, to rzadkie, lecz silne, jakby napadowe poczucie harmonii życia i świata mimo wszystko. Atakuje mnie ledwie częściej niż nigdy, ale nie mogę zapomnieć, że jest. Że czasami niebo i morze, skupione w linii horyzontu, wydają mi się cudowne.

Nie twierdzę, nie sugeruję, że ta pusta fasada i ci ludzie coś znaczą. Ale mogliby znaczyć. Mogliby być alegorią tak samo, jak świat zawsze alegoryzował dramatyczne formy życia i dorastał do ich znaczeń, dojrzewał z nimi. Alegorią jakoś przejmująco trafną i aktualną. Jak zdjęcie dziewięcioletniej Kim Phúc, Wietnamki, którą w 1972 roku napalm zapalił niczym pochodnię. Albo jak fotografia Jana Pawła II, który w 2005 próbował coś powiedzieć do ludzi zebranych na placu Świętego Piotra i nie wydobył z siebie ani słowa. Tamte fotografie przekształciliśmy w ikony. A ze zdjęciem bazyliki Świętego Benedykta tak nie umiemy. Dlaczego? Co było w nas, czego już nie ma? Nursja to nie to samo co Norcia i trudno nam złożyć to w jedno? Nie jesteśmy już chrześcijanami? Jeśli to prawda – a myślę, że jeśli prawda to nie jest, to jednak prawda w tym jest – co ta prawda-nieprawda mówi o nas? Co mówi to, że nie objawił nam tej nowiny, złej albo dobrej, żaden intelektualista, żaden prorok, poeta, tylko objawiła ją ziemia?

Co mówi o nas fakt, że siedmiuset uchodźców na łodzi zatopionej przy

egipskim wybrzeżu i tych trzystu sześćdziesięciu ośmiu, którzy utonęli o pół mili od Wyspy Królików, od Lampedusy, Bramy Europy, nie jest dla nas setkami martwych Ulissesów, którzy polegli w walce o wolność, o przyszłość i teraz?

Luca mówi niewiele, ale nie milczy. Mówi tyle, by dać do zrozumienia, że chętniej słucha. Co chwila dzwoni jego telefon. W Katanii wybuchł gaz, prawie zawalił się dom. Pyta, czy są ofiary.

Wygląda na to, że do Luki spływają wszystkie tragiczne wiadomości, a on na ich podstawie informuje media. Na razie są ranni, nie ma ofiar śmiertelnych. Nieco później podobna rzecz zdarzy się w Bolonii. Spod gruzów jego koledzy wyciągną kobietę. Jeszcze nie będzie wiadomo, czy uda się ją uratować.

Cari odpowiada dziennikarzom oszczędnie i precyzyjnie. Robi kilka rzeczy naraz, myśli o wszystkim. W pewnej chwili orientuję się, że mówi strażakom też o mnie. Że będziemy za pół godziny. Pyta, kogo zastanie i czy możemy liczyć na kaski.

– Tutaj – zwraca się do mnie – droga jest zarwana, musimy zajechać od tyłu.

Mijamy ustawioną w poprzek wojskową ciężarówkę. Żołnierze salutują, jedziemy po wertepach w dół. Zapuszczamy się w poharatane obrzeża Amatrice, które na zdjęciach z lotu ptaka wygląda jak trup. Kiedy komentuję, że miasto jest bardzo zniszczone, Luca odpowiada, że jest po prostu martwe. A to, co widzę, to jeszcze nie jest Amatrice. To przedmieście. *Frazione*.

– San Giorgio?

– Nie... Dlaczego pytasz?

Tłumaczę, że kiedy uprzedziłem moją rzymsko-polską przyjaciółkę, że przylatuję do Włoch, i wyjaśniłem po co, Ania zawołała do słuchawki:

– Luisa! Moja sąsiadka! Ona była w Amatrice podczas trzęsienia ziemi!

Poprosiłem Anię, żeby spytała Luisę, czy spotka się ze mną, czy opowie. Zgodziła się. Do Amatrice jadę z Lucą w niedzielę, z sąsiadką Ani jestem umówiony na poniedziałek.

– Tylko – poprosiła Luisa – przejeżdż przez *frazione* San Giorgio. Tam jest mój dom. Nie możesz tamtędy nie przejechać, nie trafić.

I jak za każdym razem, kiedy ktoś mówi, że nie mogę zablądzić, pomylić drogi, do Amatrice wjeżdżam z drugiej strony.

– Wjechaliśmy dokładnie z drugiej strony – właśnie tak mówi mi teraz Luca.

W Voceto mijamy drogowskaz szlaków turystycznych: La Forca i Cima Lepri w lewo, Amatrice w prawo. Albo wręcz przeciwnie. Słup drogowskazu wygląda tak, jak gdyby zatańczył właśnie tarantelę i zastygł.

Tuż za słupem zakwefiony kościółek. Pod krzyżem i tympanonem wisi kurtyna, jak bandaż na ustach kogoś, komu wyrwano język. U progu kościółka, na schodach przed wejściem, wymiociny z kamieni, ziemi i tynku. Ogrodzone pomarańczową siatką, której też już nie ma. Padła pod topniejącym śniegiem.

Jeszcze kilka minut i wysiadamy. Przez dłuższą chwilę stoimy na poboczu gęsto zabudowanego, małego przedmieścia. Dwadzieścia, może trzydzieści domów. Prawie wszystkie popękane, ale nie powalone.

Zrównuje się z nami starszy mężczyzna. Niby skręca do bramy, lecz tak naprawdę czeka, aż go zagadniemy. Otwieram okno samochodu.

– Czy pan tu mieszka?

Pokazuje dom, przy którym się zatrzymaliśmy.

Pochyla się, prawie wkłada głowę do jeepa.

– Ja pana znam – mówi do Luki. – Był pan w telewizji.

– Byłem też tutaj – odpowiada strażak. – I to kilka dni. Nie raz.

– Chodźcie. Postawię wam kawę.

Rusza za róg, gdzie dopiero teraz widzimy szyld baru. BAR APERTO.
Otwarty.

Mężczyzna zatrzymuje się przed wejściem i wyciąga rękę:

– Giocondo.

W ciasnym wnętrzu stoi albo siedzi kilkanaście osób. Przy kasie niemłoda kobieta.

– Angela – przedstawia się. – A ciebie to skądś znam...

Pytam Angelę, czy była tu podczas trzęsienia ziemi. Macha ręką, chyba na znak, że szkoda gadać.

W toalecie nad muszlą klozetową znajduję napis na kartce, rozczulający w tych okolicznościach swoją dialektalną rubaszością i codziennością:

NON DICO AL CENTRO!
MIRATE ALMENO DENTRO!

Czyli prośba, żeby sikać do środka. Żeby nie rozpryskiwać. Coś w rodzaju:

NIE JEST WSZYSTKO JEDNO,
CZY TRAFIACIE W SEDNO!

Dosłownie, ale bez rymów: „Nie musisz trafić w dziesiątkę, wystarczy, że do środka”.

Giocondo płaci za kawę, także za naszą.

– Chodźcie – mówi już w drzwiach. – Ten dom jest mój i ten jest mój, i tamten też jest mój. Patrzcie, jak pięknie stoją. Wszystkie są *agibili* albo prawie.

Agibili, czyli dopuszczone do użytku przez straż pożarną.

Pytam, co znaczy „mój”.

– Taki, który zbudowałem – odpowiada. – Jestem budowlańcem. Murarzem. Tutaj, w La Picca, budowałem większość domów.

– Picca? Przecież to Collocetra.

Taki napis widziałem przy wjeździe do miasteczka.

– Tak, ale częściej mówimy Picca, bo prawie wszyscy tutaj się tak nazywają. Picca właśnie...

Rzeczywiście, na kamieniu narożnym jednego z domów jest wyryte: ANGELO PICCA 1844, na sąsiednim – kartka zapisana flamastrem: CASA INAGIBILE E-F GAETANA PICCA. I numer telefonu.

– Czy był pan tu 24 sierpnia?

– Pewnie! Ale to nie tamto trzęsienie było najgorsze. Najgorzej było 30 października.

– Nie 18 stycznia?

– Nie, wtedy co prawda runęła dzwonnica kościoła Sant’ Agostino, ale

i tak już ledwie stała. Najgorzej było w październiku. Trzydziestego... Przyjechałem poprzedniego dnia i niespodziewanie w nocy... Dom jak statek na rozszalałym morzu. Nagle wyskoczył w górę, pochylił się o czterdzieści pięć stopni w bok i jakby się zapadł pod ziemię. Tak się wydawało, na szczęście wrócił na swoje miejsce. Szaleństwo. Jakby mnie wypluł z wnętrza.

– Ten? – wskazuję palcem budynek, przed którym spotkaliśmy Gioconda. Gładki, bez pęknięć.

I z twarzy murarza odchodzi cały dramatyzm wspomnienia, pozostaje triumf. Duma jak w niektórych spotach reklamowych, gdzie aktor, świadek farmaceutycznego cudu, staje się wyznawcą magicznego kremu na zmarszczki pod oczami.

– Poroton! – krzyczy na całe gardło.

– Co?

– Poroton! Szorstki kamień. Od dawna mówię, że trzeba u nas budować z porotonu. Z uzbrojonego! Poroton i wbite w niego stalowe pręty, wzdłuż i w poprzek. Żaden wstrząs tego nie ruszy, statek płynie dalej! Ziemia wyrzuca w górę, trzęsie w dół, w bok, na ukos, a kamienie się trzymają. Pręt trzyma, szorstki poroton się nie ślizga. Bo... sam zobacz...

Bierze mnie za rękę, prowadzi raz jeszcze na mały placzyk za barem Angeli, gdzie jakiś mężczyzna wprawia grubą rurę w drzwi, pomiędzy łukiem a progiem.

– Nadproże opada, cholera – mężczyzna rozkłada ręce, jakby się musiał tłumaczyć.

– Zobacz – Giocondo pokazuje obnażone z tynku ściany uszkodzonych domów. Szczeliny i rozpadliny pomiędzy kamieniami.

– Nic dziwnego, że te mury się osunęły, posypały. Tak kiedyś budowali: kamień na kamieniu, między nimi ziemia. Sama ziemia, bez żadnego dodatkowego spoiwa.

Raz po raz natrafiamy na przeciągnięte w poprzek zaułków biało-czerwone taśmy, znak, że wstęp jest zabroniony. Gdyby nie śmiertelny ból pęknięć

i rumowisk, można by pomyśleć, że to serpentyny dawnych karnawałów.

Pod ścianami, na przemian z kupkami gruzu, leżą spłaszczone od słońca wałki śniegu.

Podnoszę z ziemi kamienie. Biorę – znów nie wiem po co. Zawsze zabieram kamienie z miejsc, które coś dla mnie znaczą.

Wykruszone cegły spod martwej kamienicy Władysława Szlengla na Waliców, w warszawskim getcie. Kamień z podwórka Zuzanny Ginczanki we Lwowie. Odłupany bazalt z Campo de' Fiori w Rzymie, sprzed pomnika Giordana Bruna.

Modłę się jakimś psim, pogańskim językiem niemowy, żeby te ukruszone kamienie i cegły stały się kiedyś słowami. Tymczasem zaciskam je w dłoni. Gdybym miał dość siły, pozwoliłbym się kaleczyć.

– Prawie całe Amatrice – mówi Luca, kiedy wyjeżdżamy z przedmieścia ludzi o nazwisku Picca – było zbudowane w ten sposób. Tak jak każde z tych miasteczek. Kamień, warstwa ziemi, kamień. Kamień na kamieniu. Przy wstrząsach około sześciu stopni w skali Richtera, o sile czasem mniejszej, czasem większej, i kolejnych, które powtarzały się godzina za godziną, trzy, cztery stopnie każde, dzień za dniem, te domy nie miały prawa przetrwać.

Zjeżdżamy po wertepach drogą znaną mojemu przewodnikowi z 24 sierpnia, 30 października, 18 stycznia. I z 4 października, kiedy przyjechał tu papież, modlił się i chodził wśród ruin z jednym tylko człowiekiem, z Lucą.

Mijamy bar, wjeżdżamy do miasta obok baraczkę, który stał się kaplicą. Widzę zawalony kościół Sant' Agostino, ten od nieistniejącej dzwonnicy.

Skręcamy w lewo, zataczamy łuk, stajemy przed prowizoryczną siedzibą straży pożarnej.

Wychodzą nam naprzeciw strażacy. W kaskach, choć nic nad nami nie wisi. Nic w tym miejscu nie jest wyższe od nas, nic prócz dalekich, ośnieżonych gór. Luca rozmawia z nimi przez kilka minut. Ktoś przynosi hełm również dla mnie, wchodzimy do miasta. Dopiero wtedy widzę, co znaczy trup. Ten sam, którego widziałem na zdjęciach z helikoptera, lecz który z bliska nie tylko wygląda jak martwy, lecz także pachnie śmiercią. Gwałtowną i przekopaną. Przemieloną jak wojna, po której, jak pisała

Szyborska, „ktoś musi posprzątać”.

Amatrice, przez które papież szedł na początku października 2016 roku jak Mojżesz przez Morze Czerwone, nie jest miastem, przez które ja dziś idę z moim Wergiliuszem.

Na zdjęciach oglądanych w internecie Amatrice przypomina cerowaną skarpetę: widać dziury, przetarcia, pęknięcia, ale są też skrawki solidnego płótna, w które można wbić igłę, żeby nad zniszczeniami przeciągnąć nitkę.

Albo nie skarpetę, lecz szczękę: zniszczone, poczerniałe kikuty zębów pomiędzy zdrowymi, na których da się oprzeć implanty, protezy, mosty.

Amatrice Franciszka jest poharatany strzępem okaleczonego organizmu, który może ponownie obrosnąć zdrową tkanką. Jest pacjentem w agonii, o którym jeszcze się rozmawia w pokojach lekarskich. O którego bliscy pytają, czy jest jakaś szansa. Na jednej z fotografii w „L’ Osservatore Romano” papież stoi w otoczeniu kilkunastu strażaków. Bieleje jak konwalia pomiędzy bratkami. Za plecami mają wieżę Sant’ Agostino, wielkie zwalisko niewidzialnych już domów, ale to zwalisko leży na ulicy, wzdłuż których stoją budynki jeszcze pionowe. Z rozprutymi brzuchami, z których, jak z konia na biegunach na strychu mojego dzieciństwa, wysypują się trociny. W rozpadlinach murów widać, że były tu kiedyś mieszkania, było ciepło jakichś rodzin, jakichś samotności, codziennego życia i losów. Czym innym jest wiedzieć, że ktoś umarł, czym innym widzieć zmarłego na zdjęciach,

czym innym widzieć jego umieranie, a czym innym wiedzieć, że śmierć ma już certyfikat, akt zgonu, i stwierdzić, że trafił do świata przedmiotów.

Moje Amatrice jest trupem.

Strażacy wydają mi się ludźmi niezwykłymi, łączącymi czujność z uprzejmością. Szlachetnie małomównymi. Jak ten, który mówi i nie mówi o kilkudziesięciu zwłokach, które wydobyli spod gruzów w Pescara del Tronto. I który wspomina, jakby trącał antyczną strunę, o małżeństwie znalezionym w zasypanym łóżku. „Tylko jedno było żywe”.

A Luca jest jednym z tych niezwykłych ludzi. Nie jedynym. Dopiero teraz widzę, że jest członkiem załogi, bractwa. Bardzo szczególnym, wyróżnianym.

Inni strażacy rozpoznają go, bo był w telewizji, niektórzy – bo był tutaj z nimi.

Wobec mnie jest dyskretny i ostrożny, jak Wergiliusz dla Dantego w wędrówce przez Piekło i Czyściec. Pozwala mi patrzeć, ale kiedy zbliżam się do konstrukcji wyższej od człowieka, dotyka delikatnie mojego ramienia. Kiedy coś leży na ziemi, prosi, żebym patrzył pod nogi, zszedł na bok. Czuwa. Mój *Maestro* i *Duca*.

Wchodzimy do miasta, które nie jest już miastem. Idziemy czymś, co tu wydaje się bardzo dziwne: ulicą. Główną, która nazywa się Corso Umberto I. Trochę pamiętam z krótkiej wizyty w Amatrice w latach osiemdziesiątych XX wieku, odtwarzam ją teraz ze zdjęć w internecie: dość typowa dla Włoch, nie mniej przez to piękna, ulica salonik z dzwonnica, markizami, sklepami,

barami, biegnąca w stronę białych gór.

Kiedy 24 sierpnia zniszczyło Amatrice pierwsze trzęsienie, z epicentrum w pobliskim Accumoli, po akcji ratunkowej wojsko i straż zabrały się do roboty. Do zabezpieczania tego, co jeszcze istniało. Potem ziemia wciąż drżała, ale nieśmiało. Wstydliwie. Albo oszukańczo. Jednak 30 października przyszło kolejne wielkie trzęsienie, też około sześciu stopni. A potem jeszcze następne, 18 stycznia. Ci z mieszkańców, którzy chcą coś powiedzieć, a jest ich garstka, mówią o tej serii jak o katowaniu człowieka.

Uderzony – upadł.

Próbował dźwignąć głowę – został skopany.

Umarł, trzymając białą flagę, ale nawet ją wytrącono mu z ręki.

– Jedziesz do Amatrice?! – wrzeszczała w słuchawkę Stefania, dawna przyjaciółka, kiedy powiedziałem, że nie mogę przyjąć jej zaproszenia na niedzielę.

– Gdybym wiedziała wcześniej – gardłowała – pojechałabym z tobą... Wiesz, że jestem z Amatrice, prawda?... Nie?! Nie mówiłam ci?! No może nie ja, ale moja rodzina. Przenieśli się do Rzymu w XVIII wieku, lecz zawsze wracałam tam z Dariem, na kilka godzin, żeby zjeść amatricianę w hotelu Roma. No właśnie, słyszysz? Koniecznie się dowiedz, czy właścicielowi nic się nie stało. Koniecznie idź do hotelu Roma...

O hotelu Roma wiedziałem już wcześniej, zanim powiedziała mi o nim Stefania. To było najsłynniejsze miejsce w Amatrice, znane bardziej niż Sant' Agostino. Jeden z najwyższych szczytów kulinarnych na mapie Włoch. Kiedy idę z Lucą wzdłuż Corso Umberto i pytam go o hotel, pokazuje ręką „gdzieś tam”.

Gdzieś za kupą gruzów.

Amatriciana to jeden z najsłynniejszych włoskich makaronów, a raczej sosów. Jego kolebką jest właśnie hotel Roma.

Był.

Po 24 sierpnia restauracje we Włoszech, i niektóre w Polsce, solidarnościowo odprowadzały dwa euro z każdej porcji na odbudowę

Amatrice.

Warszawska Antich' Caffè' zaraz po tragedii wprowadziła amatricianę do menu. Według przepisu własnego szefa Enrica i wrażliwej Tessy Capponi, włosko-polskiej arcykucharki:

Dla 4-6 osób

1/2 kg spaghetti

10 dag guanciale (solone podgardle) lub boczku wędzonego

40 dag pomidorów (najlepiej San Marzano) bez skórki

1 ostra papryczka bez pestek

3 kopiane łyżki tartego sera pecorino romano

3 łyżki oliwy z oliwek extra vergine

1/2 szklanki białego wina

sól, pieprz

Podgardle pokroić w plastry, a potem na cienkie paseczki. Podsmażyć na patelni o grubym dnie, na oliwie z ostrą papryczką. Wlać wino, poczekać, aż wyparuje, i odcedzić podgardle. Do tłuszczu, który pozostał na patelni, wrzucić pomidory, doprawić szczyptą soli i gotować na dużym ogniu przez 10 minut. Dodać usmażone podgardle i papryczki, dokładnie wymieszać, zdejmując patelnię z ognia.

Spaghetti ugotować al dente w dużej ilości gorącej, osolonej wody. Odcedzić, wrzucić na patelnię z sosem, mieszać przez kilka sekund na mocnym ogniu i posypać dużą ilością tartego pecorino romano.

Podawać natychmiast.

Znowu Szymborska: *Przegrała dłoń do rękawicy...*

Nie ma Amatrice, jest amatriciana.

Po powrocie do Rzymu sprawdzę w najsłynniejszej i może najtańszej makaroniarni, przy placu Hiszpańskim, w Pastificio na via della Croce, w którym się je na stojąco i w którym stołowały się Audrey Hepburn i Anna Magnani. Jest. Króluje wśród makaronów. Nie zginęła amatriciana i nie zginie, póki istnieją podgardla i pomidory.

To, że idę nie po gruzach, tylko między nimi, wąwozem wśród ruin, który przebiega szlakiem dawnego Corso Umberto, otwiera przede mną zawstydzającą perspektywę. Patrzę, jak gdybym zaglądał do wnętrza świata, który zginął, lecz nie stracił intymnej temperatury. Do wykopaliska cywilizacji, co jeszcze wczoraj tętniła życiem. Przez „tętniła życiem”, banalny zwrot, który powtarzają wszyscy, a ja za nimi, żeby kontrolować emocje (stereotypy są właśnie po to), chcę powiedzieć: emanowała domowym ciepłem. Parowała. Ciepłem małżeńskich łóżek i łóżeczek dziecięcych, pokoi zabaw i bibliotek, kuchennym piecem, na którym gotowała się woda na makaron.

Ludzi tam już nie ma. Chciałoby się dodać słówko „oczywiście”. Ale to nie jest wcale oczywistość. Trudno wyobrazić sobie, że z gruzów strażacy wyjęli wszystkie ciała. Nie mogli przecież zajrzeć do każdego wyłomu, zwłaszcza że często pomiędzy warstwami, pomiędzy dachem a podłogą, nie ma wolnego milimetra, żadnej szczeliny. Masa gruzów jest zwarta jak skrzep.

Choć trudno też pomyśleć, by w tak małym mieście zabitych mogło być jeszcze więcej. Więcej niż dwustu dziewięćdziesięciu dziewięciu, których się doliczono. Kiedy idę przez Amatrice, jedyną gwarancją, że ciał tutaj już nie ma, dają słowa Luki: „Zawsze szukamy, aż znajdziemy wszystkich, co do jednego”.

To, co widzę, przywodzi mi na myśl porównanie: zamrożone morze w pełni zimowego sztormu. Rumowisko po prawej, po lewej, na ukos tutaj i tam, przede mną i za mną. Rysunek morza. Goniących i krzyżujących się fal, pieniających się grzyw, marszczeń na rzadkich wygładzeniach wody, zabawek, które to morze w czas sztormu zabiera z plaży, pozostawionych nieopatrznie materaców, wyniesionych nonszalancko i wbrew wszelkim regułom łóżek. I jak gdyby całe to wściekłe morze, które zabrało wszystko i wszystkim, które postanowiło zrobić wielkie sprzątanie świata, w pół chwili zamarzło w mętną bryłę.

Idę i widzę miazgę poharatanych ścian, strzępy powyginanych i pękniętych dachów, bezkształtną masę nieprzystawalnych materii i szczegółów, pięści rynien przy nosach szyldów, wykoślawione okna, wyłamane, pęknięte i skręcone ogrodzenia, Rzym pieca na Krymie poręczy. Bywa, że całe domy, pozornie nienaruszone, przechylone są jak Lateran na fresku Giotta w Asyżu. Tyle że nie ma świętego, który by je podparł. Jak gdyby ziemia chciała pogruchotać ścianę, ale ściana nie zamierzała pęknąć, więc wstrząs wyrwał fundamenty. Stalowe belki poskręcane bardziej, niż byłby to w stanie wymyślić artysta instalator czy rzeźbiarz.

Ktoś się wściekł. Ale kto?

Matka?

Bóg? Gdzie Go szukać? Kto Go szuka? Komu jest potrzebny?

Ale w rumowisku nie ma miejsca na pytania o matkę, o Boga. Nie ma też miejsca na trattorię-pizzerię-bar *la lanterna* na pięterku, z widokiem na to brudne, rozjuzzone, zastygłe w jednej chwili morze. Ciężkie płyty cementowego dachu, który zmiażdżył to, co miał chronić.

Tył fiata cinquecento pod zadartą plandeką.

I między tym wszystkim, w zimowym chłdzie, to nieznośne ciepło. Nieznośne, bo wystygłe, ale wciąż parujące. Nic nie jest bardziej wstrętne i nieznośne niż to, co żyje w ciepłe, a wywleczone zostało na mróz, na tle wspaniałych gór ośnieżonych pod zimnym słońcem.

Ten miś szmaciany pomiędzy cegłami. Wymiętoszony ciepłutkimi łapkami i zardzewiałymi kratami. Dwie różowe lalki pod płożą sanek albo podkową szczęścia, naprawdę wszystko jedno.

Różowa kurteczka zawisała na drucie tuż nad Corso Umberto. Inna, jaskraworóżowa i grubsza, trochę wyżej, prawie na wysokości męskich dżinsów, które z trudem wypełzły z kamiennej łaźni.

Łopata do prac ogrodowych, obrus, prześcieradło, czerwono-niebieska chusta szydełkowa, robota pierwsza klasa wprawnych rąk i szydła. Gacie, skarpety, buty.

Łóżko sprasowane przez skruszony sufit, który rozbił się na czyimś twardym śnie. A może nie? Może tego kogoś nie było? Ale był chyba. Ktoś. Ktoś jeden? Para? Ktoś był, bo przecież czuję to ciepło. Zamrożone ciepło, co za straszna bryła. Równie ohydna jak zamrożony zapach. Równie biedna. Równie godna litości.

Poduszka czerwona w serduszka białe, z dużym napisem TI AMO. Kocham cię. Tak, ja w tej chwili kocham to miasto, ten skrzep. Im bardziej nie żyje, tym kocham je mocniej.

Dwa łuki podcieni. Cóż z tego, że niepopękane, skoro wyniesione ponad górne piętra. Podobne do zapiaszczonych, półprzymkniętych oczu.

Na ścianie wieży miejskiej, pod orłem z rozpostartymi skrzydłami, obok flagi, tablica z nazwiskami poległych w drugiej wojnie światowej.

Kredensy.

Kupki śniegu na tym, co pod spodem.

Dywany, parkometry.

Półotwarty piórnik szkolny. Różowy.

Kapliczka za szkłem, które się nie stłukło. W niej święty z ręką na trupiej czaszce.

Zakazy postoju.

Pierzyny błękitne.

Kaloryfery.

Kościół Świętego Franciszka do połowy stojący na nogach, od połowy spisany i włożony do kontenerów. Kamień po kamieniu.

Znaki zakazu i znaki nakazu. Jednostronne kierunki jazdy.

Krzesło ze słomianym siedziskiem.

Jedno warte drugiego. Bez hierarchii, bez pięt.

Dach jak zdrowy kapelusz grzyba na przegniłej nóżce. Szyld KOŚCIÓŁ ŚW. FRANCISZKA AMATRICE (PROVINCJA RIETI), ale nie na kościele, lecz w skrzyni. Kościół jest skrzynią wypełnioną kamieniami kościoła. Nowa architektura sakralna. Nowe spojrzenie na miejsce modlitwy, którego ma nie być, bo są tylko jego elementy. Kamienie jak ziarna rozerwanego różańca.

Koperta szara A5, zaadresowana nie powiem do kogo, choć widzę nazwisko. Żyje adresat? Nadawca czy żyje?

Rachunek za gaz.

Futro i wieszak po futrze.

Domofon na ledwie trzymającej się ścianie. Adwokata Anioła, Angelo D'Angelo. Z adresem mailowym.

Wózek dla dziecka.

Wózek dla lalki.

Było dziecko i była lalka dla dziecka? Są?

Tentativi di avvicinamento (Próby zbliżenia) Schädlicha w przekładzie Bortolego, otwarte chyba na stronach 84-85. Wydanie Einaudiego z 1980 roku w serii Coralli. Sprawdzam: w antykwariacie można dzisiaj kupić za 4,39 euro.

Sesso e società (Seks a społeczeństwo) otwarta na rozdziale *L'omosessuale*, na cytacie: „(...) jeśli jest prawdą, że istoty ludzkie są w naturalny sposób skłonne do strachu, jest też prawdą, że uczą się tego, co groźne, wyłącznie przez doświadczenie albo wykształcenie. Dla mężczyzn cierpiących na takie fobie kontakt z członkiem tej samej płci pozbawiony jest lęku z wyjątkiem może podskórnej obawy przed skandalem i szantażem (...)”.

Koszule w różnych odcieniach błękitu, wciśnięte pomiędzy cegły jak w przeładowany pawlacz.

Lustro skierowane ukośnie taflą do nieba. Patrzące na błękit, odbijające chmurę.

Bielizniarka wypchana bielizną.

Drzwi inkrustowanej szafy z sylwetką kobiety w cieniu drzewa, trzymającej czerwony kiedyś kwiat. Dziwnie podobnej do zrywającej kwiaty ze Stabii na fresku zakonserwowanym przez pył z Wezuwiusza.

Podszewka wywiniętego płaszcza burberry.

Góry. Nie tak znowu dalekie. Jak coś, co uszło z życiem i skryło się w śniegu. Jak przerażone yeti.

Doniczki z drzewkami oliwnymi na fundamentach piwnicy wywyższonej do drugiego piętra.

Hosanny cyprysów.

Miska z metką jeszcze, przyczepioną plastikiem.

Drzazga ceramicznego kafelka.

Pomnik ludzi fruujących głowami w dół, wśród ptaków.

Przy wyjściu makiety AMATRICE E LA CONCA AMATRICIANA – PARCO NAZIONALE DEL GRAN SASSO E MONTI DELLA LAGA. „Amatrice i kotlina amatriceńska – Park Narodowy Gran Sasso i Monti della Laga”. Ach, więc to Gran Sasso, ten masyw wspaniały, doskonale widoczny w tym słońcu! Makieta gór z widokiem na góry prawdziwe.

Makieta kościoła Świętego Franciszka z klasztorem, w którego kanciastym pierścieniu wygrzewa się kot. Prawdziwy. Większy od tego kościoła i od całego klasztoru. Szary w lekkie prążki.

Prążkowany pan Amatrice.

Zapominam spytać, czy zginęły w trzęsieniu zwierzęta domowe.

Na tablicy informacja, że w kościele jest wspaniały relikwiarz w kształcie gotyckiej świątyni, dzieło złotnika Pietra Vanniniego z 1472 roku. W relikwiarzu kamea czczona przez mieszkańców, czyli Bóg jeden wie co. Nad

ołtarzem „wielki fresk z końca XIV wieku z przedstawieniem Sądu Ostatecznego”.

Na makiecie, wśród gór, osypana suchymi liśćmi tabliczka: „Farindola 530 metrów nad poziomem morza”. Farindola, siedziba nieszczęsnego hotelu Rigopiano. Tego, do którego wszedł Luca. Z którego wyciągał z kolegami żywych i umarłych.

Kiedy wracamy, do Luki podchodzi dwóch strażaków. Witają się, znają go z akcji.

Znów stoimy na Corso Umberto, w bruździe zastygłego morza cegieł i rzeczy. Słucham ich rozmowy nie od początku:

– ...przychodzą i mają pretensje – mówi strażak może w moim wieku, po pięćdziesiątce.

– Do nas?

– Tak, do nas.

– O co? – pyta Luca.

– Mają pretensje do tych, których mają za władzę. A jesteśmy tu tylko my.

Luca kręci głową:

– Ale o co?

– Dziś – odpowiada drugi strażak, znacznie młodszy – jakaś pani chciała wejść do miasta, żeby przeszukać rzeczy, zabrać jakieś prywatne przedmioty. Mówi, że ma listy, że musi je znaleźć... Tłumaczę: tutaj jest numer 10, tu numer 11, potem 12... To jednak tylko miejsca po adresach. Jedna kupa gruzu. Kiedy szukaliśmy ludzi i potem, gdy zgarnialiśmy gruz, najpierw w sierpniu, później w październiku, potem w styczniu, rzeczy z jednej działki przesypywały się na drugą albo gdzieś na działkę od tamtej ulicy. Ktoś chciał szukać biżuterii osobistej, krzyżyka, pamiątki komunii świętej... Tam był

jubiler. Skąd mamy wiedzieć, co jest jubilera, a co tej osoby? Między kamieniami są pieniądze, nie wiadomo czyje.

– Poza tym – wtrąca ten starszy – co znaczy „przeszukać”? Teren jest *inagibile*. Nie dlatego, że tak sobie wymyśliliśmy. Może osunąć się cement, kamień. Gdybyśmy dopuścili mieszkańców, pomyśl, co by było. Pomyśl, co by się działo, gdyby wśród tych gruzów chodzili ludzie, przerzucali cegły, resztki mebli.

Rozumiem. Jesteśmy na skawalonym morzu brudnym od ziemi, kurzu, kamieni, cementu i ludzkiego ciepła wyrzuconego na mróz. Jesteśmy w rozpadlinie zbitej masy odłamków...

– Ale i tych ludzi trzeba zrozumieć – dodaje Luca.

Mijamy Sant' Agostino, bazylikę ze zwaloną wieżą. Przechodzimy przez bariery, gdzie gromadzą się ludzie. Ktoś mówi coś głośno do grupki osób. Za głośno.

– No niestety – kręci głową strażak. – Wielu podoba się turystyka nieszczęścia. Dreszcz, że są w miejscu, w którym zginęli ludzie. Mają nadzieję, że zatrzęsie się ziemia, lecz na tyle bezpiecznie, żeby nic im się nie stało. Będą potem mówić, że byli w Amatrice podczas trzęsienia ziemi.

Wokół barier gromadzi się około pięćdziesięciu osób. Strażacy nie wpuszczają nikogo.

Prócz turystów, których łatwo rozpoznać, są też trzy grupki po trzy-cztery osoby. Zdezorientowane. Wahające się, czy podejść do strażaka.

Kobieta, której towarzyszą mąż i syn, broni się ruchem ręki, nie dowierza temu, co widzi. Płacze jak Chrystus nad Jerozolimą, cichymi, grubymi łzami.

– Tutaj się urodziliśmy – mówi mężczyzna bez pytania – ale mieszkamy w Rzymie. Mamy tu jeszcze dom rodzinny żony.

– Nie było nas 24 sierpnia – dodaje syn. – Potem już nie przyjeżdżaliśmy. Dopiero dzisiaj. Bo jest ładna pogoda. Pierwszy taki dzień od dawna.

Dopytuję, czy mają tu bliskich, czy kogoś stracili.

– Przyjaciół – mówi kobieta zmienionym głosem, wciąż płacząc. – Przyjeżdżaliśmy na lato, chodziliśmy do baru, do sklepu. Zamawialiśmy

mięso, wędliny, sery. Zginęli.

– Powtarza się często rzecz dziwna – mówi poważnie Luca, kiedy wsiadamy do jeepa. – Że starsze osoby, zwłaszcza mężczyźni, proszą, byśmy sprawdzili, czy zamknęły okno. Mówimy od razu: zamknął pan, już sprawdziliśmy. Bo okien nie ma. Ani jednego. Ale oni chcą to wiedzieć na pewno. Że zamknęli okno w domu, który już nie istnieje.

Na obrzeżach proszę Lucę, żeby się jeszcze zatrzymał przy tablicy promocyjnej gminy Amatrice. Na górze jest slogan:

MIASTO JEDNEGO PRZYSMAKU: AMATRICIANY

Po lewej stronie historia sosu górali-owczarzy, który pierwotnie był bez pomidorów. Z pomidorami ożenił się dopiero na początku XVIII wieku. „Planetarna” kariera amatriciany rozpoczęła się według gminy w XX wieku wraz z międzynarodową karierą, jaką zaczęli robić miejscowi restauratorzy.

Po prawej – przepis na „prawdziwą” amatricianę na cztery osoby. Jak u Tessy Capponi: guanciale, pecorino, San Marzano...

27 i 28 sierpnia miała się odbyć pięćdziesiąta edycja święta amatriciany. Do hotelu Roma przed 24 sierpnia przyjechało już ponad trzydzieścioro gości. Nie było jubileuszowego święta makaronu.

Kiedy wyjeżdżamy z miasta, drogą w dół, Luca pokazuje mi na szczycie coś, co wygląda jak szlaczek w zeszytym szkolnym. Albo ludowa mereżka. Po kilkunastu sekundach, w miarę jak zbliżamy się do zwieńczonej szlaczkiem skały, w bladym, lecz ostrym słońcu wydaje mi się, że coraz lepiej widzę blanki sypiącego się zamku.

– Hotel Roma – mówi mój Wergiliusz.

Nie pytam, czy właściciel żyje, czy nie. Nie trzeba pytać.

W dawnych relacjach dziennikarskich znajduję informację, że mężczyzna walczy o życie.

Już wygrał albo przegrał tę walkę. Wolę dać mu szansę.

Na fotografiach, już w domu, oglądam szyld hotelu Roma, gdzie, odwrotnie niż w *Abecadle* Tuwima, to M położyło się do góry łapkami i udaje, że jest W. Tym samym W, które wypisuje się na ścianach, żeby powiedzieć „niech żyje”.

– Zjemy coś? – pyta Luca.

Należy do mężczyzn, którzy nie lubią pytać o drogę. Nie chcą dawać komuś satysfakcji, że ten wie lepiej. Tym też się różnimy, wciąż na moją niekorzyść – że ja nie mam męskiego honoru. Mam w nosie, czy ludzie wiedzą, że mój zmysł orientacji jest poniżej zera.

Niektóre drogi są zamknięte, zmieniło się to od ostatniego razu, kiedy Luca był w Amatrice.

– Jest tutaj takie miejsce... – mówi i jedzie nie tam, gdzie powinien.

Zawracamy, ruszamy w drugą stronę, potem znowu.

Wreszcie bierze telefon, pyta jakiegoś Fausta.

– Nie było wyjścia – śmieje się. – Musiałem... Fausto to mój najbliższy przyjaciel, strażak. Wspaniały facet. Uratował wielu ludzi.

Po kilku minutach widzimy restaurację, po prawej, w dole.

– To Accumoli – Luca wskazuje miasto na wzgórzu po lewej, na wprost lokalu.

„Accumoli” to jedno z kilku świętych imion, które od pierwszej relacji z zeszłorocznego kataklizmu było wymieniane najczęściej. Miasto na wzgórzu, położone na wysokości prawie dziewięciuset metrów, było epicentrum trzęsienia ziemi 24 sierpnia. Zginęło w nim jedenastu ludzi. Teraz straszy. Luca upewnia się przez telefon, że – jak zresztą przypuszcza – drogi

do Accumoli są zarwane.

– Nic z tego.

Im bliżej, tym bardziej ponuro wyglądają powalone, poharatane domy.

Miasto położone... Co ja gadam? Jak można tak w ogóle mówić? A jednak... Jednak warto. Bo dopiero mowa tak zbanalizowana zdradza płycizny myślenia. Nagle głupi banał: „miasto, które leży”, odbiera życiu mocne podstawy i spokój. I znaczy tyle co „powalone”. „Obrócone w proch” – tak, to też dobry frazes. Bo we wszystkich relacjach tych, którzy przeżyli, powtarza się, że miasto nie dygoce po linii prostej, tylko w jakimś obrocie. W tańcu, w którym rozpada się w proch.

Luca z trudem znajduje miejsce przed *ristorante-pizzeria* La Vecchia Ruota. Stare Koło. Udaje mu się zaparkować jedynie dlatego, że to jeep i możemy ustawić się pod ostrym kątem na zboczu.

Za wejściem widać ruinę domu, o sto czy dwieście metrów. O tak niewiele od Starego Koła przeszła pręga wstrząsu.

W lokalu pełno, ale strażacki mundur sprawia, że właściciele szybko wskazują nam miejsce.

Wokół, już dobrą godzinę po świętej trzynastej, godzinie włoskiego obiadu, prawie sami strażacy. Dwóch strzelców alpejskich, ośmioro cywilów.

Przy namiotach i barakach, w których śpią strażacy, wszędzie widziałem stołówki. Tam jedzą śniadanie, obiad, kolację. Nigdzie w barze nie spotkałem nikogo w mundurze. Dopiero tutaj.

– Czasami – tłumaczy Luca – musimy przejechać z miejsca na miejsce, na przykład z Amatrice do Nursji, wypadamy poza godziny posiłków i wtedy jemy w trattorii czy restauracji. Ale to raczej my, starsi rangą. Lokali prawie nie ma już w okolicy, więc do tych kilku, które przetrwały, jeżdżą wszyscy.

Kelnerka podchodzi po zamówienie. Na stoliku za nią leży kilka pamiątek na sprzedaż. Wszystkie z reklamą gricii, nazywanej też griscią.

– Co to jest griscia? – pytam, choć wiem, bo w Rzymie jest podawana w wielu restauracjach, ale nagle czytam z wizytówki, że jesteśmy na

obrzeżach Grisciano di Accumoli, w ojczyźnie tego dania, więc chcę usłyszeć, jak tutejsi o nim mówią. Tym bardziej że Grisciano ma tradycję poetyckiej improwizacji. Recytacji *a braccio*. Dziś powiedzielibyśmy, że slamu.

– Amatriciana bez pomidorów – wyjaśnia szybko i krótko uprzejma kelnerka. – Ja wolę griscię, bo jestem stąd. Ale amatriciana też jest wyśmienita.

Oto poezja!

Biorę amatricianę, żeby pozostać wierny miastu, w którym byłem jeszcze pół godziny wcześniej. Wybieram rigatoni, czyli krótką formę makaronu, żeby mi się w ustach nie rozhuśtała końcówka spaghetti i nie pobrudziła strażackiej bluzy Luki. Bo Luca nosi ją z dumą.

Jemy szybko. Sos jest mocny, lekko szczypiący.

Gdy płacę, pytam kelnerkę, czy odbyła się ostatnia edycja święta *pasta alla griscia*.

– Zdążyliśmy! – odpowiada trochę tylko wesoło kelnerka. – Nasza *sagra* jest co roku 18 sierpnia. Święto amatriciany miało być 28, ale już nikt o nim wtedy nie myślał.

Luca idzie do toalety, ja czekam na zewnątrz. Nie palę, więc zagaduję do palącego mężczyzny. Ma może sześćdziesiąt pięć lat. Wygląd i trochę bezcelową energię człowieka na granicy emerytury.

– Co teraz? – pytam go, wskazując ruchem głowy wyszczerbione Accumoli.

– Właśnie jechałem, żeby porozmawiać z dziećmi – odpowiada. – Pracują w Rieti, w Pescarze. Chciałem zapytać, co zamierzają, czy wrócą. Co z ziemią, z domem. Ale po drodze wydało mi się to bez sensu. Co ja mam im powiedzieć? Wracajcie, bo... Bo co? Myśleliśmy z żoną, jak to wszystko podzielić, chcieliśmy im kiedyś zrobić niespodziankę, mówiąc: Gianni weźmie to, Fabio tamto, Maria taką a taką część. Ziemia niby zostaje, ale po co mam ich z nią wiązać? Cztery lata temu trzęsienie ziemi zniszczyło

w Amatrice prawie wszystko. Potem przyszło następne i jeszcze kilka. Teraz przyszło kolejne i zniszczyło wszystko bez „prawie”. Przyjadą, zbudują, i co? Jeśli nie zabije ich własny dom, to lawina.

Podaje mi rękę, nie patrząc w oczy. Gasi niedopałek, znika we wnętrzu La Vecchia Ruota.

Accumoli wygląda z szosy jak gniazdo zięby splądrowane przez kruki. Widok jest bolesny. Dalekie Góry Sabińskie, wiosenne u podnóży i wciąż ośnieżone na szczytach, irytują ostentacyjną, świętoszkowatą czystością.

Luca mówi, że do Nursji mamy ponad godzinę, jest więc szansa, by pogadać. Albo pomilczeć.

Pytam, w jakich akcjach brał udział prócz Sycylii, trzęsienia ziemi, lawiny w Farindola.

– Wszędzie – mówi jakby wbrew sobie. – W ciągu ostatnich dziesięciu lat, od kiedy pracuję w straży, los nie daje odpocząć... Kiedy dostałem telefon, że jest trzęsienie ziemi, byłem akurat z córką. Myślałem, że spędzimy trochę czasu razem. Rzadko jestem w domu. Pamiętam uczucie z tamtej chwili. Powinienem się może wstydzić, że trzęsie się ziemia, ludzie potrzebują pomocy, a ja czuję przede wszystkim żal. Że znowu mi się nie uda. To trwało chwilę, bo kiedy zakładam kombinezon i kask i jadę na miejsce zbiórki, myślę już tylko o tym.

Prócz najmłodszej Benedetty ma jeszcze dwóch synów.

– Ojcostwo – mówi ze śmiechem – zawieszam jedynie wtedy, kiedy idziemy na stadion. Na *curva nord* (czyli „na żyletę”). Tam, gdzie siedzą „ultrasi”. Tam wrzeszczę razem z dziećmi, dziczeję. Gdyby ktoś wtedy zrobił mi zdjęcie, powiedziałbym, że to nie ja.

Pytam, co robi z emocjami skrajnymi. Z reakcją na ryzyko, śmierć.

Dopiero wtedy pozwala sobie na dłuższą listę akcji. Powodzie w Ligurii, ofiary Morza Śródziemnego, również tych trzysta sześćdziesiąt osiem przy Lampedusie, „Costa Concordia” i zwłoki wyławiane z kabin... Bracia, którzy zginęli w studni w Gravina di Puglia...

– Pamiętasz – pyta – katastrofę w Viareggio w 2009? Pękła oś w pierwszym wagonie, pociąg się wykołoił, spadły pojemniki z gazem, jeden z nich stoczył się na jakiś bolec i zrobiła się dziura, wszystko wybuchło. Na wysokości domów. Ogień wypalił wnętrza mieszkań i ludzi, którzy w nich byli. Ale nie tylko. W jednym z samochodów znaleźliśmy ciało dziecka. Tyle że to nie było ciało. To był płynny kształt tego dziecka. Ojciec wyszedł na chwilę z samochodu, zostawił w nim śpiącego chłopczyka. Miał cztery lata, był przypięty do fotelika. Ugotował się, rozwodnił. Rozpuścił się mały człowiek. Ten ojciec dowiedział się potem, że w katastrofie spłonęła też jego żona i jeszcze jeden synek, dwuletni... Jak sobie radzę? Nie wiem. Może sobie nie radzę. Może lekarstwem dla mnie są motocykl i stadion.

Luca wciąż się zastanawia nad swoją rolą. Nad własnym miejscem.

– Kiedy jadę na akcję ratunkową, odruchowo chciałbym ratować razem z Faustem i innymi kolegami. Ale wiem, że to niebezpieczne. Niebezpieczne dla mojego zawodu. Bo mogę wynieść emocje na zewnątrz. Wyjdę do dziennikarzy i co? Będę płakał? Nie mogę, płaczą już rodzice po dzieciach, a dzieci – po matkach i ojcach. Ja muszę mówić, jak jest naprawdę. Przez cały czas muszę wiedzieć, gdzie jestem potrzebny. I kontrolować... Wiesz, ile osób kradnie nam ocalonych?... Dziwne, prawda? Kiedy wyciągamy kogoś ze skalnej szczeliny, ze studni, spod śniegu, z zasypanego hotelu, nie masz pojęcia, jak często ktoś podbiega i bierze uratowanego na ręce... Po co?... Żeby unieść do góry i powiedzieć, że to on uratował... I co ja mam wtedy robić? Jestem rzecznikiem straży i obrony cywilnej. Mam obowiązek działać w naszym wspólnym imieniu. Budować wizerunek i zaufanie. Im większe to zaufanie, tym bardziej skutecznie działamy, bo ludzie nie robią

tego, co im przyjdzie do głowy, tylko słuchają. Reagują, jak ich o to prosimy... Tak więc co mamy robić? Walczyć o wyciągniętego chłopaka? Wyrwać go z rąk tych, którzy koniecznie chcą wyjść na wybawców? Pewnie, że nie. Zostawiam więc wszystko, jak jest. Jeśli nie udało się zabezpieczyć i odgrodzić miejsca wypadku i ktoś do nas podbiegł, korzystając z naszego zaangażowania w akcję, pozwalam odebrać ocalonego. Bo dla ocalonego tak jest lepiej. Nie walczę o niego jak o łup.

Zbliżamy się do Nursji. Do Norcii, jak pokornie mówią drogowskazy.

– Ale chcę, żebyś wiedział – Luca kończy swoją opowieść – że ja też nie jestem wolny od dumy. Nikt nie jest od niej wolny. Zwłaszcza kiedy ratujesz człowieka i wiesz, że bez ciebie, właśnie bez ciebie, bez tego, co zrobiłeś w odpowiedniej chwili, on by nie przeżył, ojciec by nie wrócił do dzieci, dziecko – do ojca. Radość sama cię niesie. Nie umiesz jej ukryć. A więc zawczasu zabezpieczam się przed pokusą... Podczas festiwalu w San Remo organizatorzy chcieli nam podziękować. Na oczach wielomilionowej publiczności przedstawiciele straży weszli na scenę. Także kolega, z którym byłem w hotelu Rigopiano. Ja nie wszedłem. Odmówiłem. Bo nie chcę wpaść w zasadzkę samozachwytu. Nie chcę zwracać na siebie uwagi. Moje zadanie jest inne.

– Dzień dobry, to zaszczyt – mówi do Luki strażak przy wjeździe do Nursji, jakby chciał zaprzeczyć jego słowom o niechcianej sławie. Wzdłuż murów miasta kaskady kamieni wiszą jak winogrona. Jak winogronowe kiście krwi na ciałach średniowiecznych Chrystusów.

Wydaje mi się, że zaczynam rozumieć, dlaczego Luca mówił o różnych rodzajach trzęsienia ziemi.

– To jest ten drugi rodzaj? – pytam.

Wergiliusz kręci głową.

– Dziś, teraz, nie zrozumiesz, o co mi chodziło – komentuje. – Powiem ci później.

Wjeżdżamy przez bramę w murze, skręcamy w prawo, parkujemy na placu. Miasto jest całe w słońcu. Chłodnym, ale radosnym.

Wokół – znowu góry. Inne niż nad Amatrice. Jakby bardziej płaskie. Przypominają wianuszek olimpijskiej siwizny na obrzeżach łysiny mędrca.

Także tutaj widać pęknięcia na domach, zwały gruzów. Wręcz wzgórze gruzów przed zdekonskrowanym kościołem Świętego Franciszka. Ale ślady zniszczenia wyglądają sztucznie. Już po kilku minutach łatwo się zorientować dlaczego. Wszędzie są ludzie. I jest to taki kontrast z martwym Amatrice, że aż trzęsienie ziemi wydaje się tu nieprawdziwe.

Pod murami mnóstwo samochodów z rejestracjami rzymskimi,

florenckimi, mediolańskimi. Kobiety i mężczyźni w weekendowych sweterkach przechadzają się wolnym krokiem po omiecionych ulicach jak ja kiedyś w Cinecittà wzdłuż makiety via Vittorio Veneto, centrum rzymskiego dolce vita. Można by pomyśleć, że kamienie są z tektury, a ruiny zostały skonstruowane celowo.

Przed pierwszym domem po prawej, przed którymś tam po lewej i dalej, na rogu, i jeszcze dalej sprzedawcy wędlin kroją długimi nożami sezonowane szynki nieruchome w kleszczach imadeł. Na straganach tradycyjne kiełbasy z Norcii (do nich ta wersja nazwy pasuje jak ulał), sosy z dodatkiem trufli, innego produktu tej ziemi. Oliwy truflowej i truflowych serów. Trwa całkiem spory, hałaśliwy jarmark. Spacerowicze tłoczą się przed straganami, kupują wszystko, co tylko jest *norcino*. Nursjańskie.

Główną ulicą dochodzimy do placu przed bazyliką, który nie wydaje się tym samym placem, na którym 30 października rano ludzie klękali przed pustą, wyrazistą fasadą.

Nie widać bazyliki. Zamiast niej stoi żagiel rusztowań. Jak instalacja artystyczna albo projekt nowoczesnej świątyni. Nie widać fasady, która wszystko zakrywa, żeby wszystko objawić.

Poprzez rury konstrukcji naprawdę niczego nie da się dostrzec w tym słońcu. A przecież ona jest. Ta, której nie ma.

Podchodzą koledzy Luki, dają nam kaski. Prowadzą, raczej towarzyszą. Podchodzę do rusztowania jak Tomasz do rany Chrystusa. Po prawej widzę zrujnowaną konkatedrę Matki Boskiej Srebrzystej. Mijam koparkę, kamienie na placu, zrównuję się z rusztowaniem. W końcu jest. Kto? Co? Ona, która jest Nim.

Na pewno widzieli Go w niej ci, którzy wtedy uklękli. Zakonnice, ludzie bez mundurów i dystynkcji innych niż przynależność do rodzaju ludzkiego.

I teraz ja zaglądam za nią. Za tę, która zawsze, od kiedy w domu rodzinnym Scholastyki i Benedykta powstała pierwsza kaplica, była twarzą Jego. I ja, czyli kto? Teraz, w końcu zimy roku 2017, zrównuję się powoli

z tą Jego twarzą – i boję się przekroczyć jej linię. Powstrzymuje mnie jakaś niewidzialna bariera, jak elektroniczne systemy ochrony banków i sklepów jubilerskich. Stoję w miejscu, żeby nie zadzwonił alarm. Nie zawył. Żeby nie zobaczyć tego, co w końcu widzę:

Nic.

Czy Nic? Czy na pewno Nic?

Może tylko nic? Pisane małą literą, które nie świadczy o niczym.

Kupa gruzów we wnętrzu sakralnego opakowania.

A jeśli to te gruzy mówią, zamiast twarzy? To co mówią?

Że On nie jest fasadą, tylko pokruszonym wnętrzem?

Że nawet Jego twarz nie jest pierwszą ścianą, tylko załamaniem? Gruzem?

Że On nigdy nie chciał mieć twarzy?

Że musiał w końcu zrzucić przyprawioną gębę? Maskę?

Że – strach pomyśleć, jak bardzo spełniłyby się słowa następcy – życiowym zadaniem chrześcijanina jest wycofać się z dumnego oblicza i współczuć aż do własnego upadku?

Na planie krzyża?

A dlaczego w ogóle się nad tym zastanawiam?

Przecież nie jestem chrześcijaninem.

A może to nieprawda?

Może przestałem nim być, ale tragedia tego, co najlepsze, pokory Apeninów pomiędzy Asyżem a Norcją, jest tym, czego w chrześcijaństwie tak długo szukałem, nie znajdując, aż w końcu znalazłem i byłbym gotowy szukać na nowo wszystkiego, co wyższe ode mnie?

Nie wiem.

Ale czy się mylę, że to nie tylko moje pytania?

I może to wcale nie chrześcijaństwo odrzucam, lecz to, co jest falsyfikatem chrześcijaństwa, bo chrześcijaństwo prawdziwe to krzyże powalone na ludzi powalonych na ich ranne cienie?

W tym sensie nie może chrześcijaninem nie być ktoś, kto widzi to, co ja teraz widzę.

Nie może być też poganinem.

Inaczej tego powiedzieć nie umiem: 24 sierpnia 2016 i potem, 30 października, chrześcijaństwo i czas archaiczny spotkały się w jednym miejscu, żeby rozpocząć wspólną drogę. Razem ze zwierzętami. I z kamieniami. Z ziemią.

Tajemnicą poezji – powiedział Mircea Eliade – jest to, że za jej sprawą dokonuje się *la rupture des niveaux*. Załamanie poziomów. Przystają cokolwiek znaczyć podziały na warstwy i głębie, wszystko spotyka się w jednym punkcie.

Nie ma tylko widzenia, tylko słyszenia, tylko czucia.

Jest widzenie słyszane, dotyk taki, że aż słychać.

Myślę teraz, gdy tu jestem w tej niejednej chwili, że trzęsienie ziemi nie jest metaforą, za to metafora jest trzęsieniem ziemi.

Diabeł tasmański jest metaforą trzęsienia ziemi. Ma czarne oczy. Świdrujące, jak mówią. Nie jest duży, lecz ma najsilniejszy uścisk szczęk. Wyje i charczy. W chwili wściekłości śmierdzi. Je wszystko. Pożera łapczywie.

Metaforą trzęsienia ziemi jest *Poskromienie złościcy*. Wybuchem natury, nieujarzmionym, po którym pozostaje mdła pochwała jarzma.

Modlitwy, kadzidła.

Dziwnie uległa jest końcowa mowa Szekspirowskiej Katarzyny po tylu eksplozjach jej niezależności. Dziwnie bez wyrazu są słowa kapłanów i polityków po trzęsieniu ziemi.

Oniemiałem z przerażenia zapowiedzianą, poharataną pustką pomiędzy fasadą a przeciwległą ścianą bazyliki wciąż towarzyszy mi Luca. Przypomina o kasku, wskazuje mniej niebezpieczne wyszczerbienia, na których mogę postawić stopę.

Nie umiem napawać się raną jak święta Katarzyna czaszkami skazańców. Wracamy do miasta.

Tam, na wprost bazyliki, pomnik świętego Benedykta. Nienaruszony.

– Zakonnicy – śmieje się jeden ze strażaków – mówią, że to Boży znak.

Ciekawe, co mówią ludziom.

Znów wchodzimy w główną aleję, tę ze sklepami, straganami, turystami.

– To wszystko to fałszywy obraz – komentuje Luca moje niewypowiedziane myśli. Te, w których buduję sobie obraz Norcii jako miasta w sporej części zamieszkanego. Niezamordowanego. Ciągłe żywego.

– Ci ludzie to w większości ciekawscy – dopowiada. – Jest niedziela, jest słońce...

Nagle mój Wergiliusz poważnieje, rusza w kierunku czworga, którzy wychodzą zza rogu kamienicy. Taśma powinna odcinać budynek od dozwolonego szlaku.

– Nie widzicie – pyta twardo, górując nad nimi sylwetką i skupieniem – że to czerwona strefa? Że nie wolno tam wchodzić?

– Ale to nasze – odpowiada wesoło jeden z mężczyzn. Reszta się śmieje.
Luce tężeje twarz, jego głos zdradza irytację.

– A pan myśli – szydzi – że cegła z własnego domu nie może was zabić? Przecież po coś rozciągamy te taśmy. Zanim je rozciągnęliśmy, wchodziliśmy do waszych domów. Dla was, żeby wam nic się nie stało. A wy co?!

Grupka szybszym krokiem opuszcza oddzieloną strefę.

– Szlag mnie trafia – kontynuuje Luca, kiedy tamtych już nie ma – przez takie zachowanie. Bo to znaczy, że przynajmniej ta część naszej pracy jest po nic. Inni widzą, jak te chojraki wchodzi, wydaje im się, że zakaz nie ma sensu, i tragedia gotowa.

Przypominam Luce, jak po 24 sierpnia, po pierwszej śmierci Amatrice, chwalono mieszkańców Norcii-Nursji, że po jeszcze wcześniejszym trzęsieniu ziemi zaczęli stosować techniki antysejsmiczne, więc miasto prawie nie ucierpiało.

– Tak było – potwierdza, z mocnym naciskiem na „było”.

Mówię, że chciałbym spotkać zakonników. Dowiedzieć się, co mówią mieszkańcom. Jakie w takiej chwili mają dla nich słowa.

Luca gdzieś dzwoni, po chwili przesyłają mu numer telefonu ojca Benedykta, przeora. Piszę, że chciałbym się spotkać. Odpowiedź przyjdzie dopiero w nocy, około trzeciej: „Próbuj odezwać się do ojca Marcina”. Będę już wtedy w Rzymie.

Strażacy odprowadzają nas do jeepa. Wyjeżdżamy. Miasto, które pozostawiamy za sobą, jest białe.

– Wiesz – pyta Luca – co robiłeś 30 października? Pewnie nie wiesz, ale nie szkodzi. To normalne. Ja nie wiem, co robiłem na przykład 3 stycznia, 4 maja 2015 czy 2016 roku. Jednak większość Włochów pamięta, co robiła, kiedy zawaliła się bazylika czy kiedy lawina zmiotła hotel Rigopiano. Tak jak Amerykanie wiedzą, co robili 11 września 2001. Jak gdyby w tamtej chwili coś w nich zastygło na zawsze.

Mówię, że prawie wszyscy Polacy pamiętają, co robili 13 grudnia 1981. Gdy dowiedzieli się o stanie wojennym. I 10 kwietnia 2010, kiedy w katastrofie lotniczej zginęło dziewięćdziesiąt sześć osób. I przyznaję: było tak, jak gdyby oddech Królowej Śniegu zamroził nagle dusze nas wszystkich, a ciałom pozwolił żyć dalej. Z pamięcią o duszy, jaka była wcześniej.

– A co robiłeś – pyta Luca – trzy miesiące wcześniej, 12 stycznia 2010?

Z trudem uprzytomniam sobie, że może mu chodzić o Haiti, o trzęsienie ziemi, w którym zginęło ponad trzysta tysięcy ludzi. I pamiętam o nim może tylko dlatego, że w Rzymie, gdzie wtedy mieszkałem i pracowałem, ambasadorem Haiti była Geri Benoit Belnowski, Polka z pochodzenia, która między styczniem a kwietniem zdążyła poznać Marię Kaczyńską, żonę prezydenta RP, i z którą wiele razy potem się kontaktowałem.

Kataklizm, który dotyczy nas z bliska, Luca nazywa laboratorium serca. Bo pokazuje, co w życiu jest naprawdę ważne.

Nie pamiętasz dnia, w którym tsunami pogrążyło Japonię, ale pamiętasz, co robiłeś, kiedy powódź zalała ci podwórko.

Śmieje się, gdy mówię, że przez całe życie bałem się znaleźć w kręgu podejrzewanych. O cokolwiek. Właśnie dlatego, że nie byłbym w stanie powiedzieć, co robiłem dnia takiego a takiego, nocy takiej a takiej, o takiej to a takiej godzinie. „Co robiłeś wczoraj pomiędzy trzecią a czwartą w nocy?” – pyta w filmach kryminalnych policjant, a ja pocę się za tego, którego pytają, na próżno próbując odnaleźć w pamięci, co sam robiłem.

Siłą poślizgu myśli przypominam sobie i mówię Luce, że zawsze bałem się niesłusznych oskarżeń. Mama do dziś wspomina, jak w latach sześćdziesiątych w Kołobrzegu kupiła mi na straganie plastikową gwiazdę z napisem „Dallas” i jak się rozplakałem, kiedy kuzyn powiedział, że w Dallas właśnie zamordowano prezydenta Stanów Zjednoczonych. Sam pamiętam, gdy w szkole podstawowej wychowawczynie, której boję się chyba do dzisiaj, znalazła w koszu kanapkę i zaczęła się drzeć, że w Wietnamie giną i głodują, a tutaj ktoś wyrzucił kanapkę. Z szynką. „Jak nikt się nie przyzna – syknęła – wezwę milicję z psami i wyda się, kto to zrobił”. Podniosłem wtedy rękę. Nie pamiętam, czy dlatego, że nie mogłem już znieść napięcia, czy też dlatego, że byłem pewny, że psy się pomylą i wskażą mnie jako sprawcę.

– Na szczęście – Luca zanosi się śmiechem – nikt nie oskarży cię o wywołanie trzęsienia ziemi.

– Cholera wie – mówię, nie wiedząc, po co w ogóle to mówię, podobnie jak nie wiem w tej chwili, po co o tym teraz piszę w reportażu, który niby jest o zburzonym sercu naszego świata.

A może chodzi właśnie o ten zaimek – „naszego”?

Mówię o Amatrice, więc trochę również o sobie. O Norcii, więc także o własnych dziecięcych lękach.

W każdym zakątku ziemi, nie tylko w Leningradzie, słyhać brzęk finlandzkiej łyżki, o której pisał Brodski.

A może gdybym nie pisał o tym, co myślałem podczas jazdy z Luca, jak nieporządnie myślałem i nielogicznie, czułbym, że piszę tak, jak nie powinno się pisać. Jak gdybym udawał, że myśli są rzeźbą o twardych konturach. „Teraz pójdziemy na spacer” – pomyślał John... Ile razy czytałem w powieściach podobne zdanie, ile razy przez nie odłożyłem książkę? Bo nigdy w życiu nie pomyślałem zdaniem. Nigdy w mózgu nie zobaczyłem myśli w formie liter, ciągu powiązanych słów. To, co nazywamy myślami, zawsze było bardziej w moim sercu niż w głowie, a tam, gdzie było, miało postać gotującej się magmy. Albo w ogóle nie miało postaci. Jak to coś stawało się potem słowem, sformułowaniem, to wciąż dla mnie tajemnica niezwykła.

A zresztą może to, że myślę o gwieździe szeryfa z Dallas i o kanapce w koszu, to efekt widzianych gruzów? Raczej nie może. Raczej na pewno. Tak więc trzeba to koniecznie zapisać, bo to też skutek trzęsienia ziemi. Jeśli wszystko, co się dzieje na świecie, tym i tamtym, tym i wszystkich innych, jest jak kamyk wrzucony do wody, to myśl o plastikowej gwieździe szeryfa i o kanapce, która nie nakarmi wietnamskiego dziecka, jest dalekim krążkiem na tej wodzie. Jej nagłym zmarszczeniem w nieadekwatnym miejscu i czasie.

– Kto z nas – pyta retorycznie Luca – myślał na co dzień o Amatrice i Nursji? Były sobie, i już. I nagle okazało się, że były w nas bardziej, niż zdawaliśmy sobie z tego sprawę.

Zjeżdżamy w dół szosą biegnącą wzdłuż rzeki Nery.

– Dziwne rzeczy – komentuje Luca – dzieją się z wodą. Wypływa spod ziemi w miejscach, gdzie jej nigdy nie było. Na Nerze tworzy nowe rozlewiska. Ujawniły się podskórne źródła...

– Jest! – przerywam mojemu przewodnikowi. – Znalazłem to, czego szukałem w zapiskach!

– Zdziwisz się – mówię, pokazując dwie kartki – ale wiem, co robiłem 30 października.

Może bym nie wiedział, gdyby nie rodzina.

Opowiadam, jak postanowiłem zrobić prezent córce, która studiuje architekturę i pragnęła zobaczyć Biennale Architektury w Wenecji. Młodsza córka i żona koniecznie chciały z nią jechać, więc zadłużyłem kartę i kupiłem trzy bilety, zarezerwowałem pokój trzyosobowy w hotelu tuż przy Rialto, w centrum. W wolne dni Wszystkich Świętych i Zaduszek.

– Nie boicie się? – pytała moja nadwrażliwa mama. – Przecież dopiero co było we Włoszech to straszne trzęsienie ziemi. Ledwie uciekliście.

– Mamo – śmiałem się uspokajająco – w Wenecji ziemia się nie trzęsie. Co najwyżej woda.

Nazajutrz po ich wyjeździe, jak prawie co dzień, włączyłem rano telewizję włoską, Rai News 24. Temat dnia: debata w Partii Demokratycznej na temat referendum konstytucyjnego.

I nagle coś się stało. Coś niezwykłego, ważnego. Coś, co – to się czuło od razu – zmiotło z powierzchni ziemi referendum i całą włoską politykę. Cały porządek włoskiego chaosu.

Spojrzałem na zegar u góry monitora: 7.41. Wziąłem kartkę, zacząłem notować. Jak kronikę wypadków.

I teraz, wracając z Norcii do Rzymu, czytam Luce ten cały porządkowany chaos.

– Przepraszam – mówi spiker jak na granicy omdlenia – ale jest właśnie trzęsienie ziemi.

Chwieją się lampy, faluje podłoga.

Prezenter z trudem utrzymuje się na nogach. Jest w studiu, w północnej części Rzymu.

Traci wątek, nie potrafi nawiązać do ostatniej myśli.

Minutę, może trzy później dostaje wiadomość o sile wstrząsu: 7,1 w skali Richtera.

Dzwoni żona. Mówi mi, że w hotelu huśtają się lampy, spacerują łóżka.

Czyli trzęsienie jest odczuwalne co najmniej od Wenecji do Rzymu, od włoskiego prezentera do mojej rodziny.

W 1755 roku trzęsienie ziemi w Lizbonie odczuł w Wenecji Giacomo Casanova.

7.50 – połączenie z dziennikarką w Ussicie pod Maceratą.

– Widzicie? – mówi przejęta. – Ta mgła za moimi plecami to pył po zawalanej ścianie.

8.04 – na monitorze kolejne chmury kurzu.

8.06 – poprawka. Wstrząs miał siłę 6,1.

Epicentrum pomiędzy Perugią a Maceratą. Albo między Ussitą a Nursją. W regionach Umbria, Lazio, Abruzzo, Marche.

Dziennikarka mówi, że tuż przed trzęsieniem nagle zaczęły szczekać psy. Pojechała do Ussity kilka dni wcześniej. Bo już wtedy pod Maceratą trzęsła się ziemia.

Jest 8.10. Z domów wybiegli ludzie. W Nursji po gruzach biegną zakonnice.

W Ussicie oderwał się cały front domu. Nad ziemią znowu unosi się mgła, która jest kurzem. Kamera pokazuje puste mieszkanie za ścianą, której już nie ma.

8.15 – burmistrz Arquata del Tronto: – Zawaliło się wszystko. Miasta już nie ma.

8.26 – Rai News 24 pokazuje czyjś wpis na Facebooku: „Runęła katedra w Nursji”.

Ludzie przesyłają do studia filmiki z kołyszającymi się żyrandolami, z gruzami.

Potwierdza się: w Nursji zawaliła się bazylika. Przed fasadą klękają ludzie. Wśród nich kapłani i zakonnice. Po chwili widać, że modlą się przed pustym kościołem.

Rai News 24 podaje numery telefonów alarmowych. O ofiarach na razie nie słyhać.

W Rzymie zerwała się winda, na szczęście pusta.

W Ussicie ludzie ze strachu spędzili noc w przyczepach kempingowych. Kobieta mówi z gniewem, że właściciele parkingu, zakonnicy, nie wpuścili jej przyczepy, bo ma psy, a psów nie przyjmują. Przyczepa z psami prawie się przewróciła od wstrząsu.

– On nas nie zostawi w spokoju! Nie zostawi nas w spokoju!!! – krzyczy.

Kogo ma na myśli?

A może nie kogo, lecz co? Boga czy trzęsienie ziemi? Obie możliwości po włosku są rodzaju męskiego.

8.30 – poprawka. Siła wstrząsu: 6,5.

Epicentrum, w przybliżeniu, obszar zniszczony częściowo przez sierpniowe

trzęsienie ziemi: Nursja, Preci, Castelsantangelo sul Nera.

Ewakuowano szpital w Cascii, stolicy świętej Rity od spraw beznadziejnych. Zawaliły się ściany w Tolentino. W stolicy świętego Mikołaja, który biednym rozdawał chleb i któremu przed śmiercią śpiewały anielskie chóry.

Jakoś po godzinie, po pierwszych rozmowach dziennikarki z mieszkańcami, dopisałem:

– On nie chce nas zostawić w spokoju...

W porównaniu z trzęsieniem ziemi sprzed dwóch miesięcy coś się zmieniło w ludziach. Mniej w nich przerażenia tym, co zdarzyło się teraz, więcej rezygnacji i gniewu. Jak gdyby przypomniął o sobie jakiś lęk antyczny, odwieczny. Powtarzalny. Przetworzony w poczucie fatum.

Kobieta podchodzi do zakonnika z klasztoru w Nursji. On dotyka jej ramienia, ona głaszcze go po twarzy.

Kiedy kończę czytać, dojeżdżamy z Lucą do centrum Rzymu, do mostu Cavoura, przy którym mieszkam.

Jest ósma wieczorem, żegnamy się. Po godzinie Luca dzwoni i pyta, czy mam ochotę wpaść na kolację. Odmawiam, choć rozczuła mnie myśl, że po całym dniu ma jeszcze ochotę na moje towarzystwo. Jestem zmęczony i rozedrgany. Boję się, że wszystko, co widziałem, wyleci mi z pamięci. Idę na kolację, chodzę po mieście.

Jutro przede mną co najmniej dwa ważne spotkania. Przynajmniej tak myślę.

Kiedy jestem poza domem, nie mam dostępu do internetu. Nie umiałbym obsługiwać skomplikowanego telefonu, laptop jest za ciężki, żeby go nosić. Wchodzę do punktu internetowego na wprost Sant' Andrea della Valle, nieopodal Campo de' Fiori.

Czytam maile, nie umiem odpowiedzieć.

Wpisuję do wyszukiwarki „*vittime Amatrice*”. Pojawia się lista ofiar trzęsienia ziemi z 24 sierpnia.

Dwieście dziewięćdziesiąt cztery nazwiska. I fotografie.

Fernanda urodziła się w 1927 roku, mieszkała w Rzymie.

Giordano, również rzymianin, urodził się w 2012.

Fernando i Giordana. Osiemdziesiąt pięć lat różnicy.

Skaczę po imionach, bo cmentarzysko tego dnia jest wielkie. Za ledwie o kilkadziesiąt osób mniejsze od trzystu sześćdziesięciu ośmiu trumien na pomoście Lampedusy po katastrofie 3 października 2015. Tamtych pograżyło morze. Tych – tylko ziemia. Tamtych – znacznie więcej niż morze. Obojętność, wojna, głód, zbrodnia. Wszystko prócz morza. Dla zmarłych przy Lampedusie morze było mizerykordią. Zadało cios ostateczny. Z tymi jest inaczej. Człowiek nie poniósł tu winy.

Leonardo i Ludovica z Nettuno, chyba rodzeństwo, bo łączy ich nazwisko, lat czternaście i szesnaście.

Ivan z Amatrice, dopiero co skończył trzy lata.

Ogarniam wzrokiem listę, która przypomina klepsydrę wypełnioną zastygłym piaskiem.

Wyraźnych podziałów pokoleniowych brak.

Pochodzenie – głównie z Włoch środkowych.

Stefano, Andrea, Riccardo z Accumoli. To samo nazwisko. Lat osiem, trzydzieści cztery, niecały rok. Jak to się mówi: roczek.

Korowód. Taniec śmierci.

Adwokat, emerytka, uczeń. Nauczycielka.

Nauczycielką jest również Luisa, sąsiadka mojej przyjaciółki Ani, do której nazajutrz jadę na koniec Rzymu, w okolice Casal dei Pazzi.

Zanim przeszła na emeryturę, uczyła włoskiego.

Mówi szybko.

Pyta, czy byłem w Amatrice.

Już byłem.

Pyta, czy byłem we *frazione* San Giorgio.

Nie byłem. Bo to po drugiej stronie w stosunku do Picco, przez które wjechaliśmy.

– To niczego nie widziałeś – kręci głową Luisa.

Mówię, że owszem, widziałem: Amatrice. Że nic z miasta nie zostało prócz tej dumnej, kruchej wieżyczki ze sztandarami Europy i Włoch.

– To nieważne – mówi swoje Luisa. – Najważniejsze są *frazioni*. Przedmieścia.

– Zburzone jeszcze bardziej niż Amatrice? – pytam.

– Nie. Tylko o Amatrice ciągle się mówi, wciąż się je pokazuje na zdjęciach. A o *frazioni* nie wspomni nikt ani słowem.

Nie trzeba wiele, by zrozumieć, że Luisa dopomina się o sprawiedliwość dla miejsca, w którym przyszła na świat. San Giorgio: trzydziestu stałych mieszkańców, pół setki domów.

Tak, Luisa była 24 sierpnia w Amatrice.

Nie, w San Giorgio nikt wtedy nie zginął.

Ona sama ma najmocniejszy dom w całej *frazione*.

– Mury – mówi Luisa – mają ponad półtora metra grubości. A dom zaprojektował sam Antonio Nibby na początku XIX wieku. Słynny archeolog i architekt. Do rodziny Nibby należała cała okolica, potem się przenieśli do Rzymu.

W pokoleniu rodziców Luisy wyjechali do Rzymu niektórzy. W jej pokoleniu – już prawie wszyscy. Na studia, do pracy...

– Do Amatrice przyjeżdżało się tylko w wakacje, do rodzinnych domów, w których mało kto mieszkał.

Ojciec Luisy był krawcem. Nie takim, który ceruje i łąta. Kiedy ktoś w Amatrice i okolicy chciał mieć nowy garnitur albo suknię ślubną lub sukienkę dla dziecka na komunię świętą, ojciec jeździł, brał miarę, szył w domu, wracał na przymiarki i poprawki.

Luisa miała dziewięćcioro rodzeństwa. Wszyscy wyjechali. Zostały im jedynie domy, w centrum Amatrice i we *frazioni*.

– Najdziwniejsze – mówi – że od dzieciństwa ojciec co tydzień nam powtarzał, jak trzeba zachować się podczas trzęsienia ziemi, a zrobiłam wszystko odwrotnie. Wszystko. Dosłownie. Przez dziesięciolecia tato powtarzał, żeby iść wzdłuż ściany nośnej, przeprowadzał nas bezpieczną drogą. Przez całe życie przygotowywałam się do tej próby, a kiedy nadeszła, pobiegłam wzdłuż ściany bocznej.

– To czym się kierowałaś?

– Biegłam jak wszyscy. To jakaś dziwna siła – biec jak wszyscy i tam, dokąd wszyscy biegną. Jak gdyby bycie z innymi gwarantowało bezpieczeństwo. Ale chyba jest tak, że po prostu w takiej chwili człowiek traci rozum. Nie ma własnego pomysłu. Zapomina o słowach ojca. I pędzi jak inni, których dezorientacja staje się jedynym kluczem.

Pytam, czy straciła tamtej nocy bliskich, znajomych.

– Dwóch kuzynów – mówi z zastanowieniem. – Nie w San Giorgio, tylko w Amatrice. Kilkoro zostało lekko rannych... Mój mąż śpiewa w chórze. 23 sierpnia wieczorem występowali w kościele, kilkadziesiąt osób. Byłam na tym koncercie. Połowa chóru zginęła po powrocie do domów. Dobrzy znajomi, przyjaciele. Do północy, i dłużej, miasto było pełne ludzi. Całe Corso Umberto I wypełniał gwar. Mnóstwo młodych. Pili, jedli lody, tańczyli, śpiewali. Święto... Nie, nie wyjechaliśmy od razu. Dopiero kiedy zrobiło się widno. W nocy po trzęsieniu ziemi nie tylko nie wiesz, gdzie jest droga. Nie wiesz nawet, czy w ogóle jest jakaś droga. Czy nie zawaliły się mosty. Stoisz w miejscu i czekasz na światło.

Pytam Luisę, czy trzęsienie ziemi pozostawiło w niej ślad.

– *Altro che!* – woła. – Jakżeby nie... To wraca co noc.

– Co?

– Strach. Budzę się. Nie śpię. Kilkuletnie wnuki kuzynów chodzą na terapię. Podobnie jak piętnastoletnia kuzynka, która widziała, jak wali się na nią sufit. Nic jej się nie stało, ale uskoczyła w ostatniej chwili. I teraz musi się leczyć. Bo ciągle się boi.

Luisa nie należy do pokolenia, które umie opowiadać o własnych traumach. Mówi, jakby uciekała przed pożarem.

– Na szczęście – wspomina – odnalazła się kamea. Zaginęła tamtej nocy pod gruzami Sant' Agostino, ale po kilku dniach znaleźli ją strażacy. Strażacy i proboszcz.

Kult kamei, o której informuje istniejąca tablica przy nieistniejącym kościele, sięga 1472 roku. Wtedy to, w dzień Wniebowzięcia, późnośredniowieczną pasteczkę zaskoczyła nagła burza. Dziewczyna pomodliła się do Najświętszej Marii Panny i wówczas z nieba spadł kamyk. Kamienny wizerunek Matki Boskiej. Burza ustała. Na miejscu zdarzenia wzniesiono sanktuarium. Madonna di Filetta, za miastem.

Proboszcz zapowiedział, że będzie zabierał kameę na pogrzeby ofiar trzęsienia w Amatrice.

– Dokąd?

– Tam, gdzie mieszkali – odpowiada strażak. – Raczej nie tutaj. W większości w Rzymie. Zresztą okoliczne cmentarze też są *inagibili*. Wiele grobów jest otwartych. Widać trumny i kości.

mieć albo nie mieć

mówią że dobrze
mieć kogoś

ale w dzień
jak ten kiedy idę
przez amatrice
myślę
jak dobrze jest nie
mieć

ale nie mieć
zanim

zwłaszcza w trakcie

bo już po
znowu dobrze
jest mieć

nawet jeśli uprzedzają

że wróci

amatrice

amatrice

amo

amas

amat

amatrice

to amatorka

coś jak lokatorka

która zamieszkuje

i robi

wszystko

żeby nie stracić

amatrice

ta która kocha

nie amante

kochanka

chyba że taka

co kocha z delectacją

forma poprawiona

imienia beatrice

co zbawia

amatrice nie zbawia

amatrice pogrąża

amatrice

amatrice

jesteś trochę jak nietzsche

nietzsche który

umarł 25 sierpnia

o jeden dzień

ustępując pierwszeństwa

tej która

kocha

i chciałaby być lokatorką

ale nie ma już

domu

pomiędzy dobrem

i złą

kołdrą i złem

i misiem między

cegłami

Widzę i słyszę we włoskiej telewizji, jak przewodniczący Włoskiego Towarzystwa Psychiatrycznego mówi o psychicznych konsekwencjach trzęsienia ziemi.

Zdobywam numer jego telefonu, proszę o wywiad. Odpowiedź przychodzi dwukrotnie, od sekretarki. Że spróbuje mnie połączyć, chociaż profesor jest bardzo zajęty. I da znać, jeśli się zgodzi. Choć – powtarza – psychiatra ma mnóstwo pracy.

Na portalu „State of Mind”, gazety nauk psychologicznych, znajduję artykuł o traumie po trzęsieniu ziemi. O „rozpadlinach, jakie pozostają w umyśle”.

Autor powołuje się na doktor Loredanę Musellę z mediolańskiego Ośrodka Badań i Studiów Psychotraumatologicznych.

Szukam jej numeru, dzwonię. Rozmawiamy przez telefon, dopytuję mailem. Doktor Musella ma niewiele czasu. Tłumaczy, że po ostatnich trzęsieniach ziemi zgłasza się mnóstwo osób, które potrzebują terapii.

– Trzęsienie ziemi – mówi mi terapeutka – to jedno z najbardziej traumatycznych przeżyć. To wydarzenie tak nagłe i niezrozumiałe, że pozbawia człowieka umiejętności reagowania. Ci, których ono spotka, żyją potem w stanie zupełnej bezsilności. Intensywnego lęku. Mają poczucie, że w głębi nich dokonała się całkowita przemiana. Swój świat zewnętrzny,

złożony z miejsc i osób, a także wewnętrzny, emocjonalny i psychiczny, widzą w kawałkach. Wydaje im się rozbity. Potłuczony.

Kiedy ziemia już nie drży, ujawniają się długotrwałe problemy. Pojawia się skrajne przygnębienie. Ten, kto przeżył trzęsienie ziemi, pozostaje w stanie chaosu i zamroczenia. Utracił całkiem poczucie bezpieczeństwa. Żyje w poczuciu ciągłego zagrożenia.

Typowe reakcje?... Skłonność do przeżywania traumy wciąż na nowo, bardzo intensywnie. Bezustannie wracają wspomnienia, powtarzają się sny, koszmary. Dręczy bezsenność. Często jest poczucie pustki. Braku jakichkolwiek emocji. Taki człowiek popada w odrętwienie, obojętność. Unika ludzi. Oddala się od samego siebie. Jest ofiarą zjawiska znanego w psychologii pod nazwą dysocjacji.

Towarzyszy jej, na pozór paradoksalnie, pobudzenie. Nadpobudliwość. Skłonność do irytacji, lęku, paniki, złości, trudności z koncentracją i pamięcią. Nadmierna troska o bezpieczeństwo, chroniczny ból, depresja.

Kiedy reakcje neurofizjologiczne na traumę, w tym na trzęsienie ziemi, trwają dłużej niż miesiąc, terapeuci próbują diagnozować PTSD, zespół stresu pourazowego. Mówiąc niespecjalistycznie, dochodzi do niego wówczas, kiedy wydarzenie traumatyczne jest tak silne, że system nerwowy nie jest go w stanie „przetrawić”. Bolesne wspomnienia są uwięzione w naszych sieciach neuronowych, a ich magazynowanie dokonuje się przez obrazy, dźwięki i odczucia, które występowały w chwili zdarzenia. Proszę mi wierzyć, że jest to wielkie cierpienie...

Jak pomagać?... Liczne badania wykazały, że najskuteczniejszą metodą leczenia stresu pourazowego jest EMDR. Czyli terapia odwróżliwiania za pomocą ruchu gałek ocznych. Stymulacja bilateralna pomaga odblokować wspomnienia zmagazynowane dysfunkcjonalnie. Nieprzetworzone informacje dotyczące bolesnych wspomnień mogą przynosić dyskomfort przez całe życie...

Na czym polega ta terapia?... W skrócie: poprzez ruchy gałek ocznych

terapeuta stymuluje obie półkule mózgowe, wspomagając ich połączenie.

Tak, ta metoda jest również bardzo skuteczna u dzieci. Jeśli zastosuje się ją odpowiednio szybko, można uniknąć chronizacji zespołu stresu pourazowego. Choć u dzieci trauma jest poważniejsza, bo nie mają zasobów, którymi mogłyby w odpowiedni sposób zinterpretować przeżywane zdarzenia. Reakcje dzieci są bardzo podobne do reakcji dorosłych, lecz mogą się ujawniać inaczej.

Bajki? Nie przychodzi mi nic do głowy. Jeśli sobie przypomnę, dam znać.

Wieczorem na gwarnym Campo de' Fiori, miksowanym przez pomarańczowe światło śmieciarki, zastanawiam się, jak Luisa namalowałaby własną duszę. Czy tak, jak ja widziałem dziś Amatrice?

Kupki śniegu na tym, co pod spodem.

Dywany, parkometry.

Półotwarty piórnik szkolny. Różowy.

*Kapliczka za szkłem, które się nie stłukło, w niej święty z ręką
na trupiej czaszce.*

Zakazy postoj.

Pierzyny błękitne.

Kaloryfery.

A to wszystko nieuspokojone jeszcze. Niepozamiatane. Roztrzęsione. Kotłujące się. Rozbiegane jak futurystyczny pies Giacoma Balli. Na smyczy, czarny, w miejscu jednym i wielu.

Znam sporo Włochów, którzy przeżyli trzęsienie ziemi. Patrząc na włoskich piłkarzy, polityków, na turystów, piosenkarzy, na mieszkańców miast, tych miast, po których chodzimy w wakacje, możemy być pewni, że co najmniej trzy czwarte spośród tych ludzi poczuło, jak drży im ziemia pod stopami. Wielu z nich kogoś straciło – w tym albo w zeszłym roku, sto lat temu, czterysta. Wielu straciło ojca lub mamę. Przez co nie urodziła się im młodsza siostra, o której nawet nie pomyśleli, że mogłaby się urodzić. Bo trzęsienie ziemi zabija nie tylko losy, lecz także ich hipotezy.

Każdy ma tutaj swoją tajemnicę, nieznaną nawet jemu samemu. Każdy poniósł jakieś konsekwencje. Często ukryte i nie do pomyślenia.

Weźmy choćby przypadek dziecka o imieniu Secondino, a nazwisku Tranquilli.

Znam je dobrze, jednak nie bezpośrednio. Z jego własnych książek i z rzeczy, które napisano o nim. Osobiście znał to dziecko Gustaw Herling-Grudziński, miał za przyjaciela i za wielki autorytet. Urodziło się w 1900 roku w Pescinie w Abruzzo, a przeszło do historii jako Ignazio Silone, pisarz, myśliciel, wybitny działacz lewicy. Autor słynnej powieści *Fontamara*, tłumaczonej również na polski.

Secondino, kiedy miał jedenaście lat, stracił ojca. Kiedy miał lat czternaście, niedaleko L' Aquili, miasta zniszczonego osiem lat temu, w całej

Marsice – subregionie obejmującym również Pescinę – zatrzęsa się ziemia. Z siłą siedmiu stopni. Wstrząsy zabiły trzydzieści tysięcy pięciuset dziewiętnastu ludzi. W rodzinnej miejscowości przyszłego pisarza – ponad trzy i pół tysiąca. W tym jego matkę i prawie wszystkich, których nazywał rodziną. Przy życiu pozostał tylko młodszy brat Romolo. Kilka miesięcy później Secondino pisał do braciszka:

Wróciłem do Pesciny, obejrzałem ze łzami w oczach ruiny. Szedłem wśród nędznych chałup pokrytych jak w tamte pierwsze dni nielicznymi szmatami, w których biedni ludzie żyją w nierozróżnialnym przemieszaniu płci, wieku i pochodzenia. Odwiedziłem także nasz dom, oczami zmęczonymi od płaczu widziałem, jak wyciągano naszą matkę, woskową, pokiereszowaną. Teraz jej zwłoki są pochowane, a przecież wydało mi się, że i stamtąd wydobywał się jej głos. Może cień naszej matki zamieszkuje te ruiny, nieświadoma naszego losu być może przyzywa nas, by przytulić do piersi. Widziałem miejsce, gdzie szczęśliwie cię odkopano. Widziałem wszystko...

Po latach, już jako Ignazio Silone, w *Wyjściu awaryjnym*, zbiorze esejów i wspomnień, zapisze:

Tym, co mnie zaskoczyło najbardziej, była naturalność, z jaką chłopcy akceptowali potworną katastrofę. Na prowincji takiej jak nasza, gdzie mnóstwo nieprawości pozostawało bez kary, powtarzalność trzęsień ziemi wydawała się faktem na tyle zwyczajnym, że nie wymagał dodatkowych wyjaśnień. Można było się raczej dziwić, że trzęsienia ziemi nie występują częściej. W trzęsieniach ziemi ginęli bowiem bogaci i biedni, wykształceni i analfabeci, zarządcy i poddani. W trzęsieniu ziemi natura spełniała to, co prawo obiecywało w słowach, lecz nie w rzeczywistości: równość. Równość krótkotrwałą...

Silone wspinał się wysoko w hierarchii Włoskiej Partii Komunistycznej. Był bliskim współpracownikiem jej sekretarza Palmira Togliattiego. Pojechał z nim do Moskwy, ale po tym, co tam zobaczył, zwłaszcza po wykluczeniu z Kominternu Trockiego i Zinowiewa, potępił stalinizm i wycofał się z polityki. Pod koniec lat dwudziestych i przez lata trzydzieste utrwalił się jego autorytet w oczach wolnych intelektualistów. W 1930 roku wydał *Fontamarę*, która przyniosła mu uznanie największych, między innymi Thomasa Manna i Alberta Camusa. Dla autora *Dżumy* i wielu innych Silone

stał się najważniejszym kandydatem do Nagrody Nobla. Dla autora *Innego świata* był nieocenioną podporą, jednym z nielicznych, którzy ośmielali się głosić prawdę o sowieckim aparacie przemocy.

Jednak w tym samym czasie działały się też w życiu pisarza sprawy sekretne. Cierpiał na głęboką depresję (PTSD? – zastanawiam się), leczył się w Szwajcarii u samego Carla Gustawa Junga. Było jeszcze coś, co w latach dziewięćdziesiątych, kilkanaście lat po śmierci Silonego (zmarł w 1978), ujawnili młodzi historycy – Dario Biocca i Mauro Canali: w pełni swojej działalności w ruchu komunistycznym pisarz był informatorem OVRA, tajnej policji faszystowskiej. Reakcja przyjaciół Silonego i tych, których wspierała jego moralna wielkość, była mniej więcej taka jak słynnego dziennikarza Indra Montanellego: „Nie uwierzę, nawet jeśli sam wstanie z grobu i do tego się przyzna”.

– Wy tłumaczenie kolaboracji Silonego może znaleźć tylko psychologia – mówi mi Biocca.

Początkowo współpracę pisarza z faszystowskim agentem Guidem Bellonem tłumaczono tym, że w 1928 roku aresztowano brata Ignazia za rzekomy udział w zamachu na króla Wiktora Emanuela III, w którym zginęło lub odniosło rany kilkadziesiąt osób. Romolo został skazany na dwanaście lat więzienia.

– Przez jakiś czas – opowiada Biocca – wiązano agenturę Silonego z tym aresztowaniem. Pisarz miał rzekomo zgodzić się na współpracę w nadziei uwolnienia brata. Okazało się jednak, że Silone podjął współpracę znacznie wcześniej.

Jakie więc były przyczyny? No właśnie – psychiczne, jak powiada historyk. Z analizy prozy samego Silonego, jej wątków, wyznań jego powieściowych bohaterów, a także poetyki współpracy z faszystowską policją, języka donosów, płynie sugestia, że po trzęsieniu ziemi Silone szukał ojca, matki i starszego brata w jednej osobie. Znalazł ją w dwóch. Najpierw w Don Orionem, dzisiejszym świętym Kościoła katolickiego, który zajął się

małym Secondinem niedługo po trzęsieniu ziemi. Potem w Guidzie Bellonem, faszystowskim policjancie, który rozpracowywał lewicowe środowiska młodzieżowe w regionie Abruzzo. Który był na tyle perwersyjny i sprytny – lub sam musiał czuć się wyjątkowo samotny – że traktował swojego agenta jak syna, a on jego – mówi Biocca – jak ojca.

W wielkim skrócie: przyczyną agenturalnej działalności Silonego – a działalność ta była gorzką prawdą, która przyprawiła o wstrząs Herlinga-Grudzińskiego, Montanellego i wielu innych – był fakt geologiczny. Trzęsienie ziemi w Pescinie i całej Marsice 13 stycznia 1915 roku rano, o godzinie 7.52.48.

Trzęsienie ziemi było kamykiem, agentura kręgiem na wodzie.

Pytam doktor Musellę o bajki, baśnie, legendy, bo pamiętam, jakie wrażenie zrobiło *Cudowne i pożyteczne* na moim środowisku laików zafascynowanych humanistyką psychologiczną. Książka, w której Bruno Bettelheim analizuje terapeutyczną wartość baśni. To, w jaki sposób ludowe czy paraludowe opowieści, często okrutne, towarzyszą dzieciom i niepostrzeżenie rozbijają napięcia. Tłumaczą świat. Zwłaszcza te najokrutniejsze, spod znaku braci Grimm. O wilku, który chce pożreć Czerwonego Kapturka, o Jasiu z Małgosią wyprowadzonych do lasu przez ojca. O trzęsieniach naszej ziemi wewnętrznej, naszej pewności i naszego bezpieczeństwa.

To dziwne, ale nie znajduję we włoskiej kulturze baśni o trzęsieniu ziemi.

Są legendy importowane z Haiti, z kultury Wschodu, o żółwiach i słoniach, lecz nie ma rdzennych. Apenińskich. A jeśli są, to ich nie znalazłem, i na własną obronę mogę mieć tylko to, że nie zna ich ani doktor Musella, ani moja przyjaciółka Simona, która urodziła się i przez pół życia mieszkała w regionie Abruzzo. Niedaleko zburzonej L' Aquili. Nie zna takich baśni Biagio z Katanii, gdzie ziemia trzęsie się za każdym wybuchem czy wyciekami z Etny. Nie zapisał żadnej w swoich-nie-swoich, bo ludowych, *Baśniach włoskich* Italo Calvino.

Runęły sycylijskie Noto i Mesyna, runęła Irpinia, runęły Friuli, L' Aquila, Amatrice – i z ich gruzów nie ulepiła się żadna baśń? Taka spisana przez

odwieczne doświadczenie na wiekuiącą przyszłość, żeby krążyła z ust do uszu i rozbrajała lęk przed tym, co nieuchronnie się powtórzy za lat trzydzieści, za sto, czterysta?

Nie wierzę. Lecz jeśli nawet istnieją jakieś baśnie, to nie rozbrajają. Bo nikt o nich nie wie.

Rolę baśni przejęły instruktaże. Kursy bezpieczeństwa. Które pewnie ocaliły wielu, ale – jak pokazuje historia Luisy – w dniu próby mogą okazać się bezużyteczne. Wobec zaskoczenia, chaosu, przerażenia. Pogubienia się we własnym walącym się domu, w którym od dzieciństwa ojciec wytyczał najbezpieczniejszą ścieżkę.

Oglądam w sieci filmik, gdzie maskotka obrony cywilnej – Civilino (Cywilinek) – uczy dziecko, jak zmniejszyć ryzyko. Nie stać pod ścianą ani pod niczym, co na niej wisi. Nie korzystać z windy. Przetawić regał z miejsca, w którym stoi i się kołysze. Przewiesić obrazek. Skryć się pod stolikiem.

– Przez całe dzieciństwo wchodziłam na ćwiczeniach pod stolik – Simona śmieje się, jak my śmiejemy się z babci, która uczy nas bać się rzecznych wirów i przestrzega, by nie kąpać się przed dniem świętego Jana Chrzciciela. Jak każde dziecko śmieje się z przestróg.

– Dobrze by było – niecierpliwi się Luca – żeby rodzice sami przestrzegali zasad i tego samego uczyli dzieci.

Nie ma baśni. Co jest zamiast nich, oprócz przestróg? Święty Emidiusz z przełomu III i IV wieku, który dotknął murów swojego rodzinnego miasta, na co potężne trzęsienie ziemi zburzyło w nim wszystkie pogańskie świątynie. Te tylko. I niczego więcej. I taka była ta jego łaska.

Emidiusz według innej legendy uchronił od trzęsienia Ascoli Piceno, miasto, w którym umarł i którego jest patronem. Trzęsienie nawiedziło region Marche w 1703 roku...

I znów językowa pułapka: Maria nawiedza świętą Elżbietę, trzęsienie ziemi nawiedza Ascoli. Dlaczego podobne są te dwa zdarzenia? Z powodu

wstrząsu, jaki wywołały? Jakoś zbawczego? Jak?

Tak czy inaczej, Emidiusz jest świętym, do którego można się uciec (co jest czym innym niż uciec bez „się”) w czas trzęsienia ziemi. Choć Włosi wolą od Emidiusza świętych patronów swoich miast. Mieszkańcy Cascii – świętą Ritę. Accumoli – Matkę Boską Bolesną.

Co oni mówią tym ludziom – kapłani i kaznodzieje? Co w ogóle można powiedzieć o trzęsieniu ziemi prócz tego, co wie nauka?

Mówię Luce, że nazajutrz mam spotkanie z kardynałem Gianfranco Ravasim, wielkim teologiem. Spytam, czy Kościół stawia jeszcze kwestię teodycei. Jak godzi ideę dobrego Boga z katastrofami, w których giną ludzie? Z niezawinioną tragedią?

– Powodzenia – życzy Luca przekornie.

Czy ten problem w ogóle ma jeszcze sens?

Dla Giacoma Leopardiego, wielkiego rówieśnika Adama Mickiewicza, klęski żywiołowe sprowadzały się do jednego: ludzkiej solidarności. Wyzwolić w sobie siłę i wolność przesłania, jakie janowiec, kwiat rosnący na „warunkach śmiesznych” (André Breton), na pustynnej ziemi Wezuwiusza, ma dla innych kwiatów: jestem, trwam wbrew wszystkiemu. Póki mogę, kwitnę na żółto.

Autorowi *Janowca*, i jego roślinie, pozostaje więc tylko braterstwo. Skupienie na tych...

...których fala
wzburzonego morza, tchnienie
złośliwego powietrza, podziemny wstrząs
tak powala, że po nich
z wielkim trudem podąża wspomnienie.

Żeby kwestia teodycei miała sens, trzeba by wierzyć, że Bóg ingeruje również w geologię.

Od pierwszego trzęsienia, sierpniowego, jednym z bohaterów programów informacyjnych włoskiej telewizji stał się profesor Alessandro Amato z INGV (Narodowy Instytut Geologii i Wulkanologii). Bada naturę i historię ruchów ziemi i nie kryje zdziwienia tym, co działo się w tych miesiącach. Zwrócił uwagę, że od 24 sierpnia 2016 roku do połowy stycznia 2017 w środkowych Apeninach było czterdzieści pięć tysięcy wstrząsów. Bywało, że sto w ciągu paru godzin, z czego kilka o sile pięciu stopni w skali Richtera. Cierpliwie powtarza, że przyczyną jest rozciąganie się półwyspu na linii wschód – zachód.

Mówi jasno, więc dzwonię do niego, żeby zadać najprostsze pytania.

Profesor Amato odpowiada chętnie.

– Obszar ostatnich wstrząsów – tłumaczy seismolog – biegnie wzdłuż grzbietu środkowych Apeninów. Po 24 sierpnia 2016 roku rozciągał się na długości dwudziestu-trzydziestu kilometrów. Po 26 i 30 października, i po 18 stycznia, kiedy uaktywniły się kolejne warstwy, powiększył się do osiemdziesięciu kilometrów.

Przyczyny?... Naprężenia, które powstają w najpłytszej części skorupy ziemskiej, od dziesięciu do piętnastu kilometrów w głąb, wskutek ruchów mikro płyty adriatyckiej w kierunku odwrotnym niż płyta eurazjatycka... Ich rozładowania...

Nie, nie można przewidzieć wstrząsów. Można obserwować regularność i wyciągać wnioski, które jednak nie muszą o niczym świadczyć.

Przebieg był typowy. Po 24 sierpnia malała z czasem liczba wstrząsów wtórnych i wyzwalana energia, ale już w październiku i styczniu doszło do dwóch znaczących powtórzeń wskutek uaktywnienia się nowych uskoków.

Nie, nie można wykluczyć, że dojdzie do kolejnych zdarzeń. Sekwencja może trwać dwa, trzy lata...

Co można? Dostosować lub wzmocnić budynki. Ostatnie wstrząsy

pokazały w wielu miejscach nieodporność konstrukcji, ale również to, że odporność tę da się jednak zwiększyć, jak w Norcii, która 24 sierpnia przetrwała prawie niewzruszona i dopiero 30 października puściła. Choć nie tak jak Amatrice...

Ostatnia sekwencja – mówi profesor – rozpoczęła się 24 sierpnia o 3.36 i jest podobna do trzęsienia w L' Aquili w 2009 roku. Lecz są różnice, choćby brak wstrząsów poprzedzających główny wstrząs. W L' Aquili główne wstrząsy 6 kwietnia 2009 były poprzedzone trzymiesięcznymi drżeniami. Tym razem uwertury nie było...

Nie – mówi twardo profesor. – Nie da się przewidzieć. Na razie. Jedynym sposobem, żeby chronić ludzi, jest prewencja. Mądre budowanie. Wypracowanie procedur ratunkowych.

Profesor wydał w zeszłym roku książkę *Sotto i nostri piedi* (Pod naszymi stopami). Z podtytułem *Storie di terremoti, scienziati e ciarlattani* (Historie trzęsień ziemi, uczonych i szarlatanów).

– Dlaczego szarlatanów? – powtarza pytanie profesor. – Bo mówię też o przesądach. O teorii, zgodnie z którą trzęsienie ziemi można przewidzieć po tym, że uciekają ropuchy. Lub że naukowcy wiedzą, kiedy będzie trzęsienie, ale nie mówią, bo gardzą Nagrodą Nobla.

Dostaję mail od Paola Rumiza, reportera.

„Naprawdę – pisze – naukowcy nie muszą nam mówić, że jesteśmy krajem, który tańczy. Widać to na pierwszy rzut oka”.

I dalej: „Nasza mapa to nie mapa, tylko szlak wojenny, wzdłuż całych Apeninów (...). Choć ostatnie trzęsienie ziemi w Emilii przypomniało nam, że równina też nie oznacza dla nas ciszy sejsmicznej (...)”.

Idę na obrzeża Watykanu do kardynała Ravasiego. Pytam, czy porozmawiamy o teodycei.

– Nie wystarczyłoby papieru, żeby napisać książkę – rozkłada ręce.

Pomaga mi w pewnej sprawie, która nie jest trzęsieniem ziemi. Na rozmowę o Bogu nie ma już czasu. Prosi sekretarkę, żeby mi przesłała esej.

O teologicznym sensie cierpienia.

Dostanę tekst kardynała tego samego dnia.

Tymczasem, idąc via della Conciliazione w stronę bazyliki Świętego Piotra, wchodzę w rolę dziennikarza, który przeprowadza sondę uliczną wśród księży.

– Jestem z Polski – mówię. – U nas nie ma trzęsień ziemi. Chciałbym wiedzieć, co mówicie ludziom po takim kataklizmie.

Unikają mnie jak wariata. Udają, że się spieszą. Udają, bo ich pośpiech ma znamiona paniki.

Nie odpowiadają wprost.

Nie mają odpowiedzi.

– To może Boga nie ma? – pytam w końcu jednego. – To może taka powinna być odpowiedź? Są naprężenia płyt, uwolniona energia, mikropląta trze o inną mikroplątę... i już. Koniec.

– Ale ktoś przecież stworzył tę ziemię – mówi starszy kapłan z rzymskim

akcentem.

– Ale dlaczego tak, żeby się trzęsła?... Dlaczego wpisał podziemne młyny w dzieło stworzenia?... Jeśli ziemia jest jeszcze młoda, jeśli musi się jeszcze kształtować, dlaczego wypuścił nas na to podwórko tak wcześnie? Mógł jeszcze poczekać. I dopiero kiedy zastygnie, stworzyć Ewę, Adama, zwierzęta...

Zdaję sobie sprawę z kretynizmu pytań, które zadaję na odcinku via della Conciliazione od biura kardynała po plac Świętego Piotra. W kretynizm wpisana jest prowokacja: kogoś wnerwie, więc odpowie mi poważnie i mądrze, i szczerze. I jeszcze coś innego: niewiara w jakąkolwiek odpowiedź. Czuję się jak na obrazie Vittore Carpaccia: weneckie kurtyzany z braku perspektyw i horyzontów – jak widział to Miłosz – „drażnią pawia”.

Człowieka, który stawia najprostsze pytania, łatwo wziąć za idiotę. Skoro poza idioty nie przynosi mi odpowiedzi wśród księży, podchodzę do polskiego zakonnika, który czeka Bóg wie na co obok centrum pielgrzymkowego, za watykańskim biurem prasowym. Polskiego zakonnika w Rzymie rozpoznam zawsze bez pudła, podchodzę więc i pytam, czy wie, co kapłani mówią we Włoszech ludziom, którzy przeżyli trzęsienie ziemi.

– Myślę – odpowiada z nadaktywną radością – że mówią to, co my wszyscy mówimy. Że Bóg jest miłością.

– Bóg jest miłością – powtarza, oddzielając sylaby.

– A nie pomyślał kiedyś ojciec – pytam – że jest na odwrót? Że to miłość jest Bogiem?

Cisza.

Skrećam w bok, na podwatykańskie Borgo. Natychmiast staje mi przed oczami fresk *Pożar Borgo*, malowany miłosierną ręką Rafaela. Syn wynosi starego ojca na plecach, ktoś z piętra płonącego pałacu zrzuca niemowlę w ramiona kogoś, kto jest już na ziemi. Nagi mężczyzna zwisa ze szczytu ściany. Kobiety tulą dzieci. Ta, która widzi w loggii papieża, modli się do niego, pokazując nam podeszwy stóp. Leon IV zgasi zaraz pożar na Borgo. W roku 1514, kiedy malował Rafael, i w roku 847, kiedy rozegrała się scena, błogosławieństwo miało jeszcze siłę, gasiło ogień, łagodziło morze, studziło ziemię.

Kiedy 1 listopada 1755 roku trzęsienie ziemi i fale zniszczyły Lizbonę i zabiły dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi, pytania były już inne. Bezdennie proste. Choćby „Dlaczego Lizbona?”, które Wolter postawił we wciąż aktualnym *Poemacie o trzęsieniu ziemi w Lizbonie*:

(...)

A wy, filozofowie, którzy twierdzić śmiecie,
Że „dobre jest cokolwiek się zdarzy na świecie”,
Chodźcie spieszenie oglądać te kupy popiołów,
Te kobiety i dzieci leżące pospołu,
Te smutne szczątki domów wkoło rozrzucone,
Pod rozbitym marmurem ciała rozproszone;
Sto tysięcy nieszczęsnych podartych przez ziemię,

Rozdartych, krwią broczących, których murów brzemie
Za życia pogrzebało. Nikt ich nie ratuje,
Więc, wśród męki, czekają, aż śmierć się zlituje!

I dalej:

Wierzcie mi, że gdy ziemia roztwiera otchłanie,
Niewinna jest ma skarga i słuszne wołanie.
A wy na to: „Na świecie wszystkiego potrzeba,
Wszystko jest dobre”. Cóż to! Więc na świecie całym
Bez zniszczenia Lizbony gorzej by się działo?
Czyście tak bardzo pewni, że Pierwsza Przyczyna
Wszystkowiedna, wszechmocna, co wszystko zaczyna,
Nie mogłaby nas rzucić na ten smutny padół,
Bez stworzenia wulkanów niosących zagładę?

Idę do punktu internetowego. W poczcie znajduję mail od życzliwej mi zawsze sekretarki kardynała i załączony esej. I rozumiem, że Kościół, jeśli jest Gianfranco Ravasim, ma jednak coś do powiedzenia. Gdzieś ponad prymitywnym oskarżaniem Boga i równie prymitywną jego apologią, ponad tą grą, w którą wciągają podwatykańskich duchownych, unosi się inna suggestia i miara. Inne sedno formuły, którą wyklepał mi polski zakonnik.

Kardynał cytuje słowa Dietricha Bonhoeffera, wrocławianina, niemieckiego pastora i teologa, powieszzonego w 1945 roku na osobisty rozkaz Hitlera w obozie Flossenbürg: „Bóg jest bezsilny i słaby w świecie i w ten sposób, i tylko w ten sposób, pozostaje z nami i nam pomaga”. I jeszcze: „Chrystus nie pomaga nam za sprawą swojej wszechmocy, lecz za sprawą swojej niemocy”.

Paradoks? Może tajemnica.

Kardynał Ravasi uzupełnia swój wywód o inne jeszcze zdanie – Paula Claudela, poety. Zdanie, które przenosi pytanie ze strefy pomocy do strefy bliskości: „Bóg nie przyszedł po to, by wyjaśnić zło: przyszedł, by wypełnić je swą obecnością”.

I jeszcze ta końcówka eseju kardynała, streszczenie pomysłu na scenariusz,

zaledwie naszkicowanego przez Ennia Flaiana, prozaika, dramaturga, współscenarzysty między innymi *Białego szejka* Federica Felliniego i *Rzymskich wakacji* Williama Wylera.

W niedokończonym scenariuszu Flaiana Chrystus powraca na ziemię. Nie chce rozmawiać z dziennikarzami, spotyka się tylko z biednymi. W pewnej chwili podchodzi do Jezusa mężczyzna z chorą córką i mówi: „Ja nie chcę, żebyś ją uzdrawiał. Chcę, żebyś ją kochał”. Jezus odpowiada, że to jedyna rzecz, którą może zrobić. Całuje ją i znika.

„Flaiano – pisze kardynał – zapisał tę scenę którejs nocy, kiedy musiał zawieźć do szpitala własną córkę dręczoną dzikimi napadami choroby, które to wykręcały ją, to usztywniały, pozostawiając z ręką wyciągniętą do góry”.

Niech będzie jasne: nie cierpię pocieszeń ani przesuwania akcentów. Nie znoszę wykrętnych rozwiązań. Doceniam natomiast rozpychanie myślenia. I kiedy z perspektywy eseju kardynała myślę o zmiksowanych gruzach *Amatrice*, o Bogu, który nie chce być fasadą bazyliki w Nursji, tylko jej zniszczonym wnętrzem, czuję, że jest szansa na ważną rozmowę, w której nie padają słowa „wiara”, „niewiara”. Gdzie jest miejsce na najświętszą ludzką niezgodę. Nieobojętność.

Rozmowa toczy się również po moim powrocie do Warszawy. Nawiązując do moich wątpliwości, tak pisze do mnie ojciec Roman Bielecki, redaktor naczelny dominikańskiego miesięcznika „W drodze”:

Chcielibyśmy uzyskać szybką odpowiedź, zwłaszcza w sytuacjach niezapowiedzianego cierpienia. Ale ich nie ma. Dlatego tak często dokonujemy potępienia Boga. A jeśli nie Boga, no to siebie. A co wtedy, kiedy winy nie ma po żadnej ze stron? Odpowiedź jest nieco zakamuflowana. W *Księdze Hioba* Bóg nie mówi wprost, skąd jest zło i dlaczego spotyka nas cierpienie. Ale to właśnie jest odpowiedź, którą Hiob otrzymuje od Niego.

W trzech ostatnich rozdziałach *Księgi Bóg* oprowadza Hioba po świecie, pokazuje mu całe stworzenie i jego wspaniałości, egzotyczne obrazy z życia lwów, kozic czy wybuchy supernowej. Wszystko niczym z filmów *National Geographic*. Jednak z tego doświadczenia Hiob niewiele więcej wie w sensie intelektualnym. Ma jedynie doświadczenie dobra stworzenia i dobra jego Stwórcy. I jakkolwiek brzmiałoby to skrótowo, po całej tej „filmowej projekcji” Hiob mówi o Bogu: dotąd Cię znałem ze słyszenia, obecnie ujrzałem Cię wzrokiem.

Spodziewalibyśmy się odpowiedzi, a tymczasem jej nie ma. Pozostaje tylko doświadczenie. Ono jest odpowiedzią.

W końcu mam!

Paolo, znajomy wydawca z Rzymu, pisze, że Mondadori opublikował książkę Nadii Terranovy *Casca il mondo* (Świat się wali). O Oscarze, który w trzęsieniu ziemi stracił dom i mowę. I o jego spotkaniu z Golanem, który uciekł od wojny przez morze.

Nadia jest świetną pisarką. Autorką subtelnej książki dla dzieci o Brunonie Schulzu, która wyszła po polsku pod tytułem *Bruno. Chłopiec, który nauczył się latać* w wydawnictwie Format, w mistrzowskim przekładzie Joanny Wajs.

Świat się wali jest rzeczą przejmującą i użyteczną. Rozumnie łączy tragedię nieletnich ofiar trzęsienia ziemi z tragedią uchodźców. Zawiera dodatek z wyjaśnieniem, czym jest trzęsienie ziemi i co robić, kiedy zdarzy się wstrząs.

Ale nie jest to baśń.

Próbuję napisać więc własną, z wewnętrzną dedykacją dla dzieci, których dotknęło trzęsienie. Także dla tych, które są już dorosłe lub stare. I tych, których już nie ma.

Dla Oscarów, Luis, Secondinów.

Jaszczur o gołęxim sercu

Był raz jaszczur o gołęxim sercu. Tak wielki, że nigdzie nie mógł znaleźć legowiska. Kiedy kładł się spać, miał głowę w jednym morzu, a tylne łapy w drugim. Albo góry pod brzuchem, które uwierały go jak ziarno grochu księżniczkę na ziarnku grochu. Miękkie doliny już dawno były zajęte przez inne, o wiele starsze gatunki.

– Jaszczurku, jaszczureczku... – zagruchał pewnego poranka gołąb o jaszczurczym sercu.

Jaszczur spojrział na przyjaciela zmęczonym, niewyspanym okiem i próbował przekręcić się na drugi bok, lecz tylko syknął, bo jakiś dymiący wulkan przypiekł mu pupę.

– Jaszczureczku, jaszczurku... – zagruchał gołąb jeszcze raz i drugi.

– Ehe... – wymruczał jaszczur.

– Znalazłem... Znalazłem...

– Niech zgadnę... Znalazłeś groch pod księżniczką, zjadłeś go i księżniczka nie ma już na co narzekać? – zażartował gad dobrodusznie.

– Bardzo śmieszne... – nadąsał się gołąb, lecz jako że miał jaszczurcze serce, natychmiast się udobruchał i przeszedł do rzeczy. – Chcesz się w końcu wyspać? – spytał.

– Nawet bardziej, niż schrupać gołębia na śniadanie – odparł jaszczur z tą

samą przekorną nutą.

– To chodź!...

– No chodź! – powtórzył gołąb, widząc, że jaszczur, zamiast stanąć na łapy, dmucha sobie na poparzoną pupę.

W końcu gad poderwał się tak dziarsko, jak tylko można po tysiącu nieprzespanych nocy, i ruszył za przyjacielem.

– Znalazłem dla ciebie pyszne legowisko – zaszczebiotał gołąb. – Tylko muszę mówić cicho, żeby nikt nie usłyszał i ci go nie zajął.

– Wygodne? – spytał z zaciekawionym gadem.

– Jak śpiwór – odrzekł gołąb.

– A co to jest śpiwór?

– Coś, co dopiero mają wymyślić harcerze.

– A kto to są harcerze?

– To takie dzieciaki, które lubią harce...

I przekomarzali się wesoło aż do chwili, kiedy stanęli przed jaskinią, która wyglądała jak ziewająca góra.

– To tutaj? – zapytał jaszczur.

– Tutaj – odpowiedział gołąb.

I jeszcze dodał:

– Jest bardzo głęboka, w sam raz dla ciebie. Tylko musisz wejść pierwszy, bo jest również ciasna. Kiedy do niej wpełzniesz, zajmiesz całą przestrzeń i nie będę miał jak z niej wylecieć.

„Co to jest przestrzeń?” – zastanawiał się jaszczur, przeciskając się przez pierwszy korytarz.

– I jak ma się przestrzeń do czasu? – spytał sam siebie za drugim skrzyżowaniem w prawo.

Nagle olśniła go tak piękna myśl, że aż chciał walnąć się w głowę, ale jaskinia była wąska, więc nie mógł unieść łapy. A raczej mógł unieść ją tylko na tyle, by się przesuwać w głąb ciemnej jaskini.

– A coś takiego jak czasoprzestrzeń... – powiedział do gołębia, który

przecież musiał gdzieś tam być za jego ogonem. – Czy ktoś już pomyślał, że coś takiego w ogóle da się pomyśleć?...

Lecz odpowiedziało mu tylko echo. Biedny gołąb o jaszczurczym sercu próbował znaleźć stosowną szczelinę, żeby zrównać się z głową przyjaciela, ale takiej szczeliny nie było, więc jedynie się zamartwiał, że wypuścił przyjaciela na zbyt trudną i niewygodną przygodę.

– A zakrzywienie czasoprzestrzeni?... – przyszło dobremu gadowi do głowy na widok kolejnego zakrętu w jaskini.

Wtedy odpowiedziało mu nie tylko echo, ale i krzyk. Gdzieś nad nim, nad jego głową i całym długim, nieporadnym ciałem. Był to krzyk... Jaszczur nie umiał nazwać go inaczej niż okrzyk podziwu.

– Jej! – westchnął z zadumą i zadowoleniem, potrącając łapą o ścianę kolejnego zwężenia. – Pewnie tam, na górze, ktoś słyszy, co mówię, i dziwi się, że wymyśliłem coś takiego jak zakrzywienie czasoprzestrzeni.

Jakoś tak przy myśli o spirali czasu, przeciskając się przez kolejne zwężenie jaskini, usłyszał jeszcze głośniejsze okrzyki. Nie tyle podziwu, lecz także jakby... Nie, to bez sensu, ale tak właśnie to brzmiało: jak krzyk przerażenia. Nie kogoś jednego. Jak bardzo wiele przestraszonych głosów. W pudle rezonansowym jaskini rozbrzmiewały one z niezwykłą mocą.

– A czas równoległy? – zapytał, czując, że mówi już nie tylko do siebie. Na myśl o czasie równoległym zamachał wesoło ogonem i oprócz krzyków usłyszał jednocześnie coś jak stukot klocków spadających na ziemię.

– A światy równoległe?! – zawołał. – Takie, w których w tym samym czasie dzieją się inne rzeczy?...

Hałasy nad jaskinią zwróciły uwagę gołębia o jaszczurczym sercu. Skrzydlaty przyjaciel jaszczura wyleciał więc z jaskini, żeby zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz.

Z początku nie widział nic, bo nad górami, przez których wnętrze ciągnęła się jaskinia, unosiła się wielka i gęsta chmura kurzu.

Odczekał chwilę, wleciał w rozwiewającą się chmurę – i wtedy zobaczył

rzecz straszną: dokładnie nad korytarzem, którym pełznął jaszczur, by znaleźć legowisko, waliły się domy, pałace, stajnie, owczarnie, obory. Nawet psie budy. Pomiedzy gruzami biegli i krzyczeli wystraszeni ludzie. A krzyżąc, pytali: „Skąd to? Kto to? Znowu? Dlaczego?!!!”. Na walące się szopy wylęknionymi oczami patrzyły zwierzęta.

Nagle gołąb zrozumiał: to jego przyjaciel, długi i dobry jaszczur o gołębim sercu, był sprawcą wielkiego nieszczęścia. Mówiąc coś do siebie, podśpiewując, przeciskając się przez skały jaskini, wprawiał w drzenie ziemię, burzył domy, pałace, stajnie, obory, psie budy. Straszył dzieci, dorosłych i starszych. Krowy, konie, ptaki i psy.

– Co ja zrobiłem?! – zagruchał z rozpaczą gołąb, który pamiętał, że to on zaprowadził przyjaciela do długiej jaskini.

Wleciał do ciemnej czeluści wypełnionej cielskiem poczciwego gada.

– Jaszczureczku, jaszczurku! – mówił głosem ptasim, jaszczurczym i ludzkim. – Jaszczurku, jaszczureczku! Proszę! Nie ruszaj się przez chwilę.

Jaszczur jednak nie słyszał. Przez grubą jak skała skórę nie czuł mocnych uderzeń gołębiego dzioba.

A zresztą jaszczur żył już w swoim równoległym czasie. Przeciskając się przez skały, robił sobie nawet dłuższe postoje. A raczej „poleżki”. I drzemki. W jaszczurczym czasie trwały one godzinę, w czasie ludzkim – lata.

Co ważne, jaszczur wciąż nie może dotrzeć głową do swojej poduszki. W dalszym ciągu przeciska się przez skały, robiąc spustoszenie jeszcze większe niż słoń w składzie porcelany.

Nikt o nim nie wie, nikt prócz gołębia, który z poczucia winy stracił głos i nikomu niczego powiedzieć nie umie. Nie ma sposobu, żeby zatrzymać jaszczura. Można tylko budować mocniejsze domy i uczyć się bezpiecznie uciekać.

We wtorek, dwa dni po niedzielnej wyprawie, dzwoni Luca. Nazajutrz mógłby być wolny. Jeśli chcę, zawiezie mnie do Castelluccio.

Rano spotykamy się przy Ponte Cavour. Opowiadam o spotkaniu z Luisą, o jej przywiązaniu do kamei.

– Byłem tam wtedy – mówi Luca. – Wynosiliśmy tę relikwię z kościoła Świętego Augustyna razem z proboszczem. Akcja ratunkowa stała się procesją.

Do Castelluccio jedziemy przez Norcię. Luca zapewnia, że stamtąd to około czterdziestu pięciu minut.

– Poprowadzą nas koledzy – mówi. – Muszą odblokować drogę.

Dopiero kiedy dojeżdżamy do Norcii, rozumiem, co Luca miał na myśli, mówiąc, że w niedzielę obraz miasta był mylący, fałszywy.

W dzień powszedni Norcia jest pusta. Żadnych straganów czy barów, choć pogoda znów jest słoneczna. Są tylko strażacy. Informacja, że w mieście działało sto pięćdziesiąt przedsiębiorstw, głównie rodzinnych, brzmi dzisiaj jak bajka.

Prawdą jest to, że tamten tłum niedzielny to byli głównie turyści. A Norcia nie jest tak żywa, jak myślałem. Jest chorym w izolacie, na oddziale intensywnej terapii.

Na miejscu spotykamy się z Piotrem Nowina-Konopką, do niedawna

ambasadorem RP przy Stolicy Apostolskiej, i jego żoną Wandą. Wynajmują dom w umbryjskiej Amelii. Próbują coś zrobić dla swojej nowej ziemi. Dla duchowej stolicy Europy. Dla jej mieszkańców. W imię europejskiej, ludzkiej solidarności.

Opowiadam Wandzie, Piotrowi i Luce, że zaraz po trzęsieniu ziemi 24 sierpnia zadzwoniła do mnie Janina Ochojska i zadeklarowała, że chętnie, z potrzeby serca, pomoże przy odbudowie szpitala czy szkoły. Jeśli więc spotkam się z kimś, kto zgłosi taką potrzebę, proszę, bym ją z tym kimś skontaktowałem.

Rozmawiałem wtedy, pod koniec sierpnia, z rzeczniczką obrony cywilnej. Poprosiła o mail. Wysłałem. Bez odpowiedzi.

Teraz z opatem i burmistrzem Norcii rozmawiają o tym Piotr z Wandą.

Piotr tak pisał do mnie, kiedy dzieliłem się z nim wątpliwościami wokół nazw Norcia i Nursja: „Trochę inaczej wyrażam tę wrażliwość lingwistyczną. Gdy mówimy Nursja, to dlatego, że wiemy o starej historii (to i nasz stary Benedykt, a nie jakiś nieznany Benedetto). Gdy mówimy Norcia, to znaczy, że wiemy, że ona jest również nasza...”

Luca rozdaje nam kaski, wsiadamy do jeepa, ruszamy.

Po kilku kilometrach jadący przed nami dwaj strażacy zatrzymują się, odsuwają bariery. Niebawem się przekonamy, że są naprawdę konieczne. Że nikt nie powinien się za nie zapuszczać.

Droga do Castelluccio to dość wąska, spiralna szosa wokół wysokiej góry. Dopiero teraz rozumiem, że dla Luki to ogromne ryzyko. Dla mnie i moich przyjaciół też, tyle że my sami prosimy się o to niebezpieczeństwo. A Luca robi to tylko dla mnie. Żeby zobaczyć i napisać.

Nigdy nie byłem w takim pejzażu. Ze stromych zboczy po lewej stronie zwisają ogromne głazy, jak zatrzymane niewidoczną dłonią. Po prawej, pod nami, strome zbocze zakończone kotliną.

30 października, lecąc w dół, kamienie zatrzymały się na drzewach i krzakach. W każdej chwili mogą się stoczyć na chłopaków jadących przed

nami w fiacie panda albo na nas w jeepie. Wystarczyłby jeden.

Coraz wyżej i stromiej. Coraz więcej śniegu. Natrafiamy na odcinek, przed którym trzeba zjechać kołami na pobocze, prawie zawisnąć nad przepaścią, inaczej nie sposób go pokonać. Od zawsze mam coś w rodzaju lęku wysokości, ale w rękach Luki czuję się bezpieczny. Ma w sobie spokój własny, który udziela się innym.

Gdzeniegdzie głazy po lewej wiszą całymi kiściami. Na ich widok Luca dodaje gazu.

– Trzeba zdążyć, nim spadną – mruczy. – Wystarczy lekki wstrząs. Albo za słabe drzewko, które nagle się złamie.

Asfalt jest popękany, często zarwany. Dookoła nas obojętne na wszystko góry.

Obojętne pozornie. Także one, białe i dumne, niewzruszone jak papież na przechadzce po slumsach, są przecież poharatane. Mówię do nich w milczeniu. Uświadamiam, że te głazy to ich kości.

Ale nie tylko to. Góry ryzykują jeszcze poważniejszą utratę niż mamucie dla nas, a dla nich drugorzędne żebra i kręgi.

Mijamy szczeliny w popękanej ziemi, wysunięte z nich znaki drogowe i drogowaskazy.

Ascoli Piceno. Arquata del Tronto. *Itinerario degli altipiani*. Szlak płaskowyżów.

– Patrz – mój przewodnik kieruje wzrok w stronę szczytu.

Podnoszę głowę, tracę oddech. Dosłownie. Serce napiera mi na żebra.

Poniżej szosy, którą jedziemy, rozciąga się przestrzeń nie dość wyrażona słowem *altipiano*.

Przede mną i po prawej stronie naturalny, kompletnie pusty basen. Jak dno wyparowanego jeziora. Ogromnego, równego. Pokrytego śniegiem.

Wcale by się nie kończył, gdyby nie bariera gór. Masyw Monte Vettore, dwa tysiące czterysta siedemdziesiąt sześć metrów nad poziomem morza. Po płaszczyźnie pomiędzy mną a Monte Vettore mogłyby się ślizgać niebiańskie

bojery. Mogłyby sunąć anielskie maratony łyżwiarskie. Wyścigi Bożych powozów, psich i końskich.

Jedziemy wzdłuż basenu przez dobre kilkanaście minut, zanim po lewej zobaczymy miasto.

Castelluccio różni się od innych miast zniszczonych przez trzęsienie ziemi. Kosmiczną głuszą. Księżycową. Tym ośnieżonym płaskowyżem, na który w każdej chwili mogą wybiec marcowe zające. Inną bliskością gór.

– Powiedzmy, że są trzy rodzaje trzęsienia ziemi – powiedział Luca przed pierwszą wyprawą.

Amatrice: miasto nieboszczyk.

Norcia: miasto jak chory w agonii, który ma siłę udawać, że żyje.

Castelluccio?...

Miasto – koszmar upiornej baśni, której bohaterowie nagle znikają, lecz pozostaje ich pejzaż?

Baśniowo myśli o Castelluccio również ojciec Roman Bielecki, dominikanin, który widział je w czasie szczęśliwym i tak wspomina na moją prośbę:

– Moi znajomi z Asyżu mówili, że Umbria to widoki, które wciągają. Zwłaszcza późnym popołudniem, kiedy światło odsłania cały urok dolin. Kiedyś wydawało mi się, że miasto na górze, w cieniu szczelnie otaczających je monumentalnych szczytów, wygląda jak Tolkienowski Rohan. Tak myślałem, gdy jeszcze nikt nie marzył o żadnej ekranizacji *Władcy pierścieni*. Ale kiedy powstał film, z zaskoczeniem stwierdziłem, że ja już to gdzieś widziałem i ktoś chyba wyciągnął to z mojej głowy. Cienie

załamujące się na dachówkach kamiennych domów i cienka zasłona powietrza. Znalazłem takie zdanie Pawła Muratowa, w którym mówił o Umbrii, że osobliwa skłonność ludzkiej duszy szuka tu dawno utraconej niewinności, do której nie przestaje tęsknić duch człowieka. I to mi zostało po wizycie w Castelluccio – dusza, która szuka dawno utraconej niewinności.

Luca mówi, że kwitnąca na płaskowyżu soczewica to jeden z najpiękniejszych, najbardziej rajszych pejzaży tej ziemi. Strażak, z którym wjechaliśmy na górę, dodaje, że Castelluccio to również stolica lotniarstwa.

Tak, łatwo wyobrazić sobie, jak nad pustym, ośnieżonym basenem pod Monte Vettore unosi się rój bezgłośnych Ikarów.

Chodzenie po Castelluccio jest mniej patetyczne od chodzenia po Norcii. Na pozór nie ma tutaj symboli, chyba że całe miasto chcemy uznać za symbol. Przy założeniu, że symboli się nie tłumaczy. Tłumaczy się alegorie. Symbole istnieją, coś znaczą, ale tych znaczeń strzegą. Zdradzają jedynie ich aurę. Owiewają nas czasem złudzeniem, że wiemy, o co w nich chodzi.

To miasteczko znacznie mniejsze od Amatrice. Równie zniszczone, lecz jakby podparte jeszcze na rękach. Albo raczej na łokciach.

Wśród ruin dużo drewnianych belek i stropów, góralskiej architektury, snycerskiej roboty.

Budynki na krawędzi Castelluccio patrzą na góry nie oczami, tylko flakami. Rozprutymi brzuchami.

I tutaj, jak w Amatrice, pozornie nienaruszone formy domów piętrzą się absurdalnie nad morzem gruzów.

Szyldy lokali wciąż wiszą na ścianach, tyle że za ścianami są karykatury ich cieni.

Ristorante Sibilla...

Ricotta fresca e salata. Formaggio...

Produzione propria...

Świeży, solony twaróg podawany w restauracji Sybilli.

La Vostra Cantina.

Przetwory z mleka od czystej owcy. Własna produkcja.

Przejażdżki wśród kwitnących upraw soczewicy, telefon...

Jazda konna.

L' osteria di Ciorro il Gualdese.

Typowe przekąski, soczewica.

Nazwy lokali i dań bardzo chłopskie, najprostsze. Pachnące dymem węglowym.

Pewnie tak właśnie po kataklizmie na Podhalu z resztek domów zwisałyby szyldy oscypków, żurawiny i pstrąga.

Na furtce zgniecionej przez walącą się ścianę karteczka: „Szukam pokoju w tej okolicy”. I numer telefonu.

Napis *Osteria* malowany czarną farbą na nieheblowanej desce.

Stajemy w miejscu, gdzie strażak znalazł kości owiec ogryzione przez wilki. Patrzymy na Monte Vettore.

– Widzisz? – pyta Luca. – Jeśli dobrze się przyjrzysz, to zobaczysz...

– Co?

– *Faglia*...

Tłumaczę to sobie jako „szczelina”, ale błędnie. *Faglia* to „uskok”.

Patrzę, ale trudno zobaczyć cokolwiek przez grubą warstwę śniegu.

W końcu dostrzegam coś, co może nim być. Wkłęśnięcie w bieli, która pokrywa uskok.

Zaraz po powrocie do Warszawy spytam profesora Amato, jak wygląda ten uskok bez śniegu. W pół chwili prześle mi dwie fotografie, widok z daleka i z bliska.

To coś, czego nie mogłem dostrzec, a co widziałem jako domyślne wgłębienie pod śniegiem, łagodny rów albo fałdę, okazuje się sznytem, który biegnie wzdłuż góry, w połowie, jak cięcie w bułce, rozkrojonej, żeby włożyć w nią farsz.

– Uskok – powie mi profesor przez telefon i dopiero wtedy poczuję grozę tego zjawiska – powstał już 24 sierpnia, lecz wtedy doszło do

przemieszczenia się brzegów zaledwie o dwadzieścia centymetrów. Wskutek trzęsienia ziemi 30 października rozwarcie osiągnęło miejscami ponad dwa metry.

Zapytam, dlaczego uskok widzę jako cięcie poziome, jak gdyby wstrząsy odłupały górę od dołu.

– Tak jest na zewnątrz – wyjaśni profesor. – Ale uskok sięga dziesięciu kilometrów w głąb ziemi. Obniżył stronę zachodnią w stosunku do wschodniej na długości około dwudziestu pięciu do trzydziestu kilometrów...

Nic nie rozumiem.

Widzę na dwóch zdjęciach jedynie ranę, górę jak brzuch przekrojony do porodu czegoś lub kogoś, co gnieździ się i nabrzmiwa na głębokości dziesięciu tysięcy metrów. Jak usta wycięte w milczącej twarzy, żeby w końcu ryknęła najgłębszym głosem. Jak półotwarte oko nieprzytomnej ziemi.

Święty Jan pisał o ludziach, którzy „mówią do gór i do skał: Padnijcie na nas i zakryjcie nas przed obliczem Zasiadającego na tronie i przed gniewem Baranka, bo nadszedł Wielki Dzień Jego gniewu, a któż zdoła się ostać?”. W nocnej paranoi właściwej komuś, kto widział za dużo i za szybko jak na czas, który dostał, przychodzi mi do głowy odwrotność Apokalipsy. Poddaję się sugestii, że trzęsienie ziemi nadeszło nie po to, by pokryć, zasypać, pochować, lecz po to, by otworzyć. By urodzić tych, którzy podczas poprzednich trzęsień błagali górę, żeby ich ukryła, i ona spełniła ich prośbę, a teraz ich wypuszcza na wolność.

Cóż by to była za armia? Armia jakiej sprawy?

Do dzisiaj, patrząc na rozchylone wargi góry, mam pokusę, by położyć się na dolnej krawędzi i zsunąć do środka, w głąb wielkiego uskoku. Poszukać języka.

Kiedy wracamy do samochodów, widzimy grupkę ludzi idących w górę miasta, do fruujących szkieletów osterii i restauracji. Rozmawiają najpierw z Wandą i Piotrem, potem podchodzą do mnie.

– Znałeś Kapuścińskiego?! – woła jeden z ich. – To nasz ukochany autor!

– Słyszysz? – pytam Lucę. – Znają Kapuścińskiego... A znacie może Ligiego z Rzymu? Rzeźnika? Poznałem go w Rzymie, pod domem przyjaciela.

– Pewnie! – śmieje się mężczyzna.

– Tego, który ma żonę Chinkę? – dopytuję z niedowierzaniem.

– Miał! – wykrzykuje człowiek. – Rozeszli się.

Absurdalnie brzmi rozmowa o Chince, żonie rzeźnika, na tle zburzonego miasta, białych gór i nieziemskiego płaskowyżu.

– Mamy tu hotel – opowiada mężczyzna. – I restaurację. Znamy wszystkich z Castelluccio. I zobaczysz, za dwa-trzy miesiące zrobimy tu wielki grill...

Nie śmieje się tylko Luca.

– Kto was tu wpuścił? – pyta.

– Tamten żołnierz...

– Który?

I Luca już nie słucha odpowiedzi. Wsiadamy do samochodów.

Bierze telefon, wydaje polecenia.

– Ciekawe – mówi do mnie – że gdy jakiś staruszek chce zobaczyć swój dom, to nikt go tutaj nie wwozi. Kiedy prosi o to właściciel hotelu, proszę bardzo... Poza tym droga jest zamknięta. Widziałeś te głazy. Nikt nie ma prawa tu wjeżdżać. To bez sensu, bez sensu...

Zjeżdżamy, mówiąc niewiele. Przed Norcią strażacy w pandzie przystają. Podchodzą do jeepa, pytają, czy chcę zobaczyć pierwsze domy zastępcze dla ludzi pozbawionych dachu.

Wjeżdżamy do San Pellegrino, niewielkiej miejscowości. Na tle wybebeszonych starych domów widzę rząd ładnych pawilonów, które przypominają nadmorskie miniwille turystyczne. Nikogo nie ma, tak mi się wydaje. Aż Piotr, który zapuścił się między budyneczki od drugiej strony, woła, że kogoś spotkał.

Podchodzę do trzydziesto-, może trzydziestopięciolatki, która zamiata ganek. Jest wesoła, serdeczna. Zaprasza do środka. Kładzie palec na ustach bo, jak szepce, tam obok śpi dziecko.

– To pierwszych piętnaście domków – wyjaśnia. – Są bardzo ładne.

Wnętrze pachnie przyjemnie farbą.

– Tu pokój małżeński, tu pokój dla dzieci, kuchnia, salonik, pomieszczenie gospodarcze.

– Piętnaście rodzin to mało – prowokuję, kobieta jednak daje upust wyłącznie zadowoleniu i uldze.

– Mieliśmy szczęście, jesteśmy wśród pierwszych. Zastanawiamy się, jak długo to potrwa. Domki są przejściowe, ale pewnie pomieszkamy tu jakieś piętnaście lat. Bo kiedy to wszystko uda się odbudować?

Rozglądamy się. Żaden dom nie zachował się w całości.

Pytam, co dzieje się z hodowcami.

– Są u rodzin. Proponowali im domy czy hotele nad morzem, ale odmawiają. Zwierzęta by bez nich wymarły. Choć teraz powstały już prowizoryczne obory i stajnie.

Przechodzę koło żołnierza, który pełni wartę. Pytam, skąd jest. Salutuje i mówi, że z Alto Adige. Jest strzelcem alpejskim.

Po powrocie do Rzymu Luca odwozi mnie do przyjaciół poetów, do dawnego getta. Przyjmuje zaproszenie. Siadamy na kanapie, na podłodze ciasnego mieszkania. Annalisa czyta nowe wiersze. Po niej Renato. Mówię, że również Luca jest pisarzem. Dostałem właśnie jego dwie książki, reportaż o akcji ratunkowej statku „Costa Concordia” i przetworzone na fikcję opowiadania o strażakach.

Annabella, żona Renata, prosi, żeby i on coś przeczytał.

Po długich namowach bierze *Non sono Dio* (Nie jestem Bogiem).

„Rozpaczliwy krzyk Lelia rozległ się w przedsionku piekła, nie docierając do nikogo. Może nawet wcale nie wyszedł mu z ust. »Kurwa, kurwa, kurwa«...”.

Luca przerywa czytanie.

– Przepraszam – mówi zawstydzony. – To nie jest poezja. Na początku książki chciałem napisać nie słowo, które znaczy, tylko słowo, które kondensuje emocje. Często w akcji nasze emocje najlepiej oddaje to właśnie słowo.

W oryginale to słowo brzmi *cazzo* i samo w sobie znaczy co innego niż „kurwa”, lecz z wykrzyknikiem zawiera tę samą bezradność i gniew.

Luca otwiera na stronie tytułowej. Pisze: „Jarkowi, mojemu nowemu przyjacielowi”.

Odprowadzam go do samochodu. Pytam, czy przyjedzie na prezentację mojego *Terremoto*.

– Przepraszam – odpowiada – ale ja nie lubię być na pierwszym planie. Poza tym nie mogę niczego planować. Nie mogę wyjeżdżać. Czekam, że coś się stanie, i nie może mnie nie być tutaj.

Co kilka dni będę dostawał od niego esemesy:

Zawsze Lazio!

Lazio wygrywa!

Roma przegrywa! Evviva!

Na lotnisku w Rzymie spotykam księdza Adama Bonieckiego.

– Co – pytam – powiedziałby ksiądz ludziom, którzy przeżyli trzęsienie ziemi?

– Nie trzeba nic mówić – odpowiada bez namysłu. – Trzeba z nimi być.

Od Autora

W reportażu przytoczyłem fragmenty utworów Luki Cariego, Giacoma Leopardiego i Ignazia Silonego w przekładach własnych.

Fragment *Burzy* Williama Szekspira – w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka.

Fragment *Poematu o trzęsieniu ziemi w Lizbonie* Woltera w spolszczeniu Aleksandra Wołowskiego.

Fragment Pisma Świętego według Biblii Tysiąclecia.

Pragnę podziękować profesorowi Alessandro Amato, Paolo Cesariemu, doktor Loredanie Muselli, JE kardynałowi Gianfranco Ravasiemu za konsultacje.

Luisie za opowieść.

Ani za Luisę.

Ojcu Romanowi Bieleckiemu, Wandzie i Piotrowi Nowina-Konopkom, koleżankom i kolegom z Dowodów na Istnienie i z „Gazety Wyborczej” za cierpliwe rozmowy.

Janinie Ochojskiej i księdzu Adamowi Bonieckiemu, że rozświetlili mnie mimowolnie, przelotnie, trwale.

Julii, Magdzie, Marysi, Zosi za „pierwoczyt”.

A przede wszystkim Luce Cariemu. Włoskim strażakom. I Włochom – za to, że wśród nieszczęść, które spadają na nich spod ziemi, z nieba, z powietrza, wody i ognia, mają siłę pamiętać, że są najpierw ludźmi, a dopiero potem Włochami.

Wydanie pierwsze, Warszawa 2017

Copyright © Jarosław Mikołajewski, 2017 Copyright © for this edition by Fundacja Instytut Reportażu, 2017

REDAKCJA
Julianna Jonek

KOREKTA I POPRAWNOŚĆ JĘZYKOWA
Małgorzata Włodarczyk

PROJEKT GRAFICZNY I TYPOGRAFICZNY SERII I OKŁADKI
Magdalena Wdowicz-Wierzbowska

ADAPTACJA PROJEKTU OKŁADKI
Barbara Niewiadomska

SKŁAD I ŁAMANIE
Michał Wysocki

ZDJĘCIE NA OKŁADCE
© Stefano Montesi / Getty Images

ZDJĘCIE AUTORA
Filip Skrońc

ISBN 978-83-947254-6-4

REDAKTOR NACZELNA WYDAWNICTWA
Julianna Jonek

KOORDYNATORKA WYDAWNICTWA
Małgorzata Borowska



Wydawnictwo Dowody na Istnienie
Imprint Fundacji Instytut Reportażu
Gałczyńskiego 7, 00-362 Warszawa
www.dowody.com
dowody@instytutR.pl, promocja@instytutR.pl